

**Dziś w numerze: ● Florencja w rok po potopie ● Końskie oko dewizy tuczy
● Zwykła historia ● Pan Mieczysław ● Dyrkusja o spektaklach szkolnych
● Recenzje ● Felietony**

odgłosy



Nr 45 (459)
12. XI. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

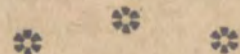


ANDRZEJ MAKOWIECKI

Szkic do aktu pierwszego

Tym wszystkim, dla których praca nie jest przekleństwem życia.

Gdybym był pisarzem, i to naprawdę dobrym pisarzem, chciałbym napisać produkcyjną powieść. Wiem, że jest to gatunek, czy raczej może: rodzaj twórczości — dokładnie skompromitowany, skopany przez krytykę. Panowie z piórami w rękach, z piórami nabitymi dynamitem — trafili raz, ale dobrze, mocno i zaciekle. ...i chyba z dzieśmi lat już mija, jak produkcyjniak wysypał się na deski w całej swej filmowo-literackiej krasie. Tym niemniej, gdybym był pisarzem, chciałbym zrobić produkcyjną powieść.



Może dlatego, że znam co najmniej dwa przykłady na dobrą produkcyjną sztukę. „Czerwony węgiel” Brychta, ów reportaż szczyry jak złoto, prosty jak odciski na reku górnik, i film Klubu-Dymnego „Chudy i inni”, ową piękną balladę o pracy.

Myślę, że aby zrobić dobry produkcyjniak, trzeba mieć wielkie doświadczenie i jeszcze większy talent, i trzeba traktować swoją twórczą pracę nie jak okazję do przypocheblania się różnym ważnym osobistościom, a jako pewien artystyczny imperatyw, domagający się realizacji właśnie w sferze produkcji. Dobrych produkcyjniaków nie ma. Fakt. Ale czy to znaczy, że ich być nie może? Czy to przypadkiem nie oznacza, że brak po prostu ludzi z talentem i pasją, gotowych wziąć na warsztat ten trudny temat? Obejrzałem i przeczytałem w tym roku wiele eleganckich, salonowo-kawiarnianych bzdur, od których burza się w człowieku flaki, dawno natomiast nie widziałem takiego filmu, jak „Baza ludzi umarłych”, który — będąc najlepszym filmem polskim — jest na ironię losu filmem produkcyjnym.

Więc mówię, gdyby matka natura obdarzyła mnie talentem, chciałbym zrobić po-

Dalszy ciąg na str. 3

Rozmowa z Kazimierzem Dejmkiem

Nie ma potrzeby opatrywać tego wywiadu dodatkowym komentarzem. Rozmawiam z wybitnym człowiekiem teatru, powszechnie znanym w kraju, a od Jego łódzkich sezonów — znanym doskonale i podziwianym w wielu krajach europejskich. Napisałem: od sezonów łódzkich, gdyż tak jest w istocie, i to stwierdzenie w pełni prawdziwe budzić może odrobinę żalu, iż międzynarodowe uznanie Dejmka jako artysty zaczęło się właściwie po roku 1962, po wyjeździe z naszego miasta.

Komentarz do rozmowy, jeśli już miałbym go preparować, zawierałby nie tyle dane co do miejsca i czasu dyskusji (12-

piec 1967, gabinet Dyrektora Teatru Narodowego), ile wrażenia, odniesione w trakcie spotkania. Impresje są tworem indywidualnym, tak fragmentarycznym, w niewielkim procencie sprawdzalnym, jakże relacjonować? Z elementów bardziej uchwytnych, takich jak sposób bycia, formułowania myśli, intonacja zdania, gest i ruch towarzyszące słowom, wnoszę, iż Dyrektor niewiele się zmienił: ta sama sprężona energia, twarda koncentracja, zniechęcająca stanowczość. Nagabliwie skupienie, kiedy słucha, jakby wrodzony zadziór, gdy mówi. Ale rodzaj uzewnętrznienia jest bardziej wypolerowany, może nieco ostudzony. Może zresztą się mylę i odpowiadam natychmiast: nie, nie z celebrowania, to byłoby wręcz antydejmkowski! Wychodząc („Muszę już pana wyrzucić...”) spoglądam niedyskretnie na biurko. Na nim plachta-terminarz, pracownice upstrzone robotą najbliższych dni. Ci, co współpracowali z Dyrektorem, co współpracują teraz, znają dobrze treść rozkazodawczą owych zapisków. Myślę: z wszystkich talentów Dyrektora ten żywioł upartej, niestrudzonej pracowitości był zawsze dla mnie czymś niezwykłym. Wykroiliła się przeto skąpa godzina rozmowy, a oto rozpieszonym trybem stawiane pytania.

S. KASZYŃSKI: Obserwując bacznie Pańską działalność artystyczną, wiem, że Pan nie darzył szczególniejszym sentymentem, również i w okresie łódzkim, tzw. dramatu i teatru absurdu. Przypuszczam, że np. Witkacy znalazł się w repertuarze Teatru Narodowego na tej po prostu zasadzie, że to już klasyk. Jaki jest stosunek Pana do tych form, do tej wizji świata, czy uważa Pan, iż doświadczenia te przysłużyły się teatrowi, np. w zakresie warsztatu reżysera i inscenizatora. Czy zmierzach absurdu w teatrze, co jest faktem, nastąpił m. in. wskutek znużenia publiczności, czy też jest to zjawisko wolnego uwładu, wypływa z samoobrony teatru przed dezintegracją jego — że tak powiem — „klasycznej” rzeczywistości?

K. DEJMEK: Nie wiem, co to znaczy „teatr absurdu”, to nazewnictwo jest mylące. Należałoby szukać precyzyjniejszych określeń. A Szekspir? Czy to teatr „absurdu”? Ionesco, na którego się przy tej okazji

powołują, to przecież mieszczański autor i mieszczański teatr, strojący grymasy oo myśli mieszczańskich ćwierć-intelektualistów.

S. KASZYŃSKI: Wiele się dzisiaj mówi i pisze o dramaturgii faktu, o teatrze faktu, mniej się mówi i pisze o przy czynach zainteresowania nim publiczności. Poruszam te kwestie nie dlatego, że Pan wystąpił w swoim teatrze z takim powodzeniem „Namiestnika”, lecz dlatego, że Pan pierwszy po wojnie — robił to zresztą u nas w międzywojennym dwudziestolecu — znalazł metody sugestywnej prezentacji właśnie pokrewnego typu dramaturgii, m. in. przez moment zaangażowania, przez zaskakujące niekiedy wpisywanie tekstu w aktualny moment historyczny. Czy sądzi Pan, że jedynie te sposoby gwarantują powodzenie, czy też same „fakty” stanowią wystarczającą podstawę sukcesu spektaklu?

K. DEJMEK: I tej nazwy nie rozumiem, nie uznaję takich podziałów. Chciałbym uznać, że to i uznaję wyłącznie poetów teatru. Wprawdzie wy stawili „Namiestnika” z pewnych określonych powodów. Życie jednak nie składa się tylko z realizacji poglądów estetycznych. Posługuję się terminem: poeta teatru i wedle tego klasyfikuję repertuar. Po eta teatru ma określoną koncepcję świata i sztuki. Taką koncepcję filozoficzno-estetyczną miał Ajzenstajns, który był nie tylko autorem tekstu i muzyki, ale grał i reżyserował, poetami teatru byli inni tragicy greccy, autorzy misteriorów średniowiecznych, Szekspir. W naszej tradycji swoiście wielkim poetą teatru był Mikołaj z Wilkowiecka, a nimowim autorzy zacząłków dramatycznych literatury staropolskiej, dalej Mickiewicz (w „Dziadach”, „Kraśnicki w „Nieboskiej komedii”), Norwid, Wyspiański i Witkacy. Ze współczesnych pisarzy —

Dc. na str. 7



Jubileusz Wielkiego Października — centralne uroczystości 50-lecia Rewolucji w Związku Radzieckim — to najważniejsze wydarzenia ostatnich dni. Na szpaltach wszystkich pism światowych temat ten podjęty został z należytą wagą. Komentatorzy pozytywni i negatywni — zgodnie uznają Rewolucję Październikową za największe wydarzenie współczesnych czasów, o najważniejszych światowych następstwach.

Podjął ten temat również Averell Harriman w obszernym artykule na łamach amerykańskiego tygodnika „Look”, przyznając:

„Gdy przed 50 laty bolszewicy zdobyli władzę, niewiele na Zachodzie wierzyło w trwałość Rewolucji. Przez kilka lat sądzono powszechnie, że w ciągu pięciu lat nastąpi upadek bolszewików. Z roku na rok upierano się przy tym proroczym, donosił ludzkie nie zaczęły zdawać sobie sprawy, że Rewolucja pozostanie już na zawsze”.

Cytujemy wypowiedź amerykańskiego polityka, nieomal naczelnego furiadka 50-letniej drogi ZSRR (po raz pierwszy przebywał on w Moskwie w 1926 roku), jako reprezentatywną dla tych, którzy nie zaliczają się do przyjaciół ZSRR, ale którzy stosunkowo szybko zrozumieli nieodwracalność wydarzeń w Rosji i ich doniosłość dla wszystkich kontynentów.

Osią światowych zainteresowań ostatnich dni stały się jednak centralne uroczystości jubileuszowe w Moskwie i Leningradzie, a zwłaszcza wspólne posiedzenie KC KPZR oraz Rad Najwyższych ZSRR i Federacji Rosyjskiej, na którym Leonid Breżniew wygłosił obszerny referat o 50-leciu wielkich zwycięstw socjalizmu. W posiedzeniu wzięli udział dziesiątki delegacji zagranicznych, a wśród nich Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z Władysławem Gomułką na czele.

Z niezwykle wzajemnego referatu Breżniewa, którego pełny tekst ukazał się na łamach prasy centralnej, a skróty w prasie wojewódzkiej, zwrócimy uwagę na ten rozdział, który dotyczy radzieckiej polityki międzynarodowej.

Dając jej rys historyczny i wykazując, że była ona i pozostaje polityką międzynarodową i demokratyczną oraz że znamionuje ją konsekwentna walka o pokój, bezpieczeństwo narodów i przyjaźń między nimi — mówca szczególnie dużo uwagi poświęcił sojusznikom i współpracy państw socjalistycznych, walce przeciwko wszelkim postaciom ucisku kolonialnego oraz dążeniu do powszechnego rozbrojenia.

Związek Radziecki — oświadczył Breżniew — uważa za swój obowiązek umacnianie polęgi i zwartości wspólnoty krajów socjalistycznych.

Zacieśnieniu współpracy politycznej służą coraz ściślejsze i systematyczniejsze kontakty i konsultacje, ekonomiczne — system dwu i wielostronnego współdziałania, wzajemnie przydatnej i przyjaźni między nimi — mówca szczególnie dużo uwagi poświęcił sojusznikom i współpracy państw socjalistycznych, walce przeciwko wszelkim postaciom ucisku kolonialnego oraz dążeniu do powszechnego rozbrojenia.

W fragmencie omawiającym przechwytanie się różnorodnym formom kolonializmu zwraca uwagę ocała walki narodu wietnamskiego przeciwko amerykańskiej interwencji oraz wnioski z niej wypływające.

„Tam, gdzie ataki agresorów napotykały twarde opór mitygujących wolność sił — powiedział Breżniew — tam imperialiści nie osiągnęli swych celów. Widać to na przykładzie wydarzeń w Wietnamie”.

Sekretarz generalny KPZR zapowiedział, że pomoc Związku Radzieckiego dla Wietnamu będzie trwała tak długo, dopóki imperializm amerykański nie zaprzestanie swej awantury i nie wycofa się z tego kraju.

W innej części wystąpienia wspomniane zostało przekonanie marksistów-leninistów, że dla zwycięstwa socjalizmu „nie ma potrzeby uciekać się do wojen między państwami”. Nie przeszczerpia się go bowiem za pomocą siły zbrojnej, ale „jest on wynikiem rozwoju wewnętrznego każdego społeczeństwa”.

Związek Radziecki, dysponujący niebywałą potęgą militarną, jak i dotychczas dążyć będzie do całkowitego i powszechnego rozbrojenia, uznając za pożyteczne także kroki częściowe na tej drodze.

„Wzywamy rządy krajów burżuazyjnych — mówił Breżniew — aby wysłuchały głosu narodów, żądających pokoju i trwałego bezpieczeństwa”.

Natychmiast po referacie sekretarza generalnego KPZR pobiegły w świat komentarze licznych przedstawicieli prasy zagranicznej. I choć trudno jeszcze o jakiegokolwiek uogólnienia — można odnieść wrażenie, że właśnie międzynarodowa część wystąpienia wywołała najżywsze odgłosy. Podkreśla się równocześnie i zdecydowanie Związek Radziecki walczy z wszelkimi przejawami zaborczości imperializmu (zwłaszcza na przykładzie Wietnamu), i pokojowego ducha polityki radzieckiej.

Przedmiotem dużego zainteresowania jest także ten fragment wypowiedzi, który odnosi się do jednolitości międzynarodowego ruchu robotniczego i zwolnienia światowej rady partii komunistycznych.

„Teraz jest już zupełnie jasne, że większość bratnich partii — powiedział Breżniew — wypowiada się za zwolnieniem nowej rady między-narodowej”.

Myśl tę podjął w swoim wystąpieniu także Władysław Gomułka, przemawiający na wspólnym posiedzeniu KC i Rad Najwyższych, jako pierwszy z gości.

„Jesteśmy przekonani, że narada ta przyczyni się do skupienia wszystkich sił antyimperialistycznych w walce o wolność narodów, demokrację, pokój i socjalizm”.

Umieszczenie przez Władysława Gomułkę tych słów w kontekście walki z imperialistyczną agresją USA w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie oraz przeciwko zagrożeniu ze strony militarystyki zachodnoniemieckiej — może być pewną wskazówką, co do tematyki światowego spotkania komunistów.

W. SEAWSKI

Kronika Tygodnia

W uroczystościach poświęconych 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej w Moskwie udział wzięło 98 przywódców partii komunistycznych i robotniczych.

Opierając się na źródłach dobrze poinformowanych agencji Reutera twierdzi, że senator Robert Kennedy zamierza w przyszłym roku odwiedzić kilka krajów Europy Wschodniej, a w szczególności Rumunię, Bułgarię, Jugosławię i być może Czechosłowację.

Nie przewiduje się ani likwidacji fizycznej, ani kar więzienia w stosunku do Liu Szao-tai i innych wielkich przywódców pozostających w niełasce — miał, według AFP — oświadczyć minister bezpieczeństwa publicznego ChRL — Hsieh Fu-czih.

Dwóch senatorów amerykańskich McCarthy i Jouna oświadczyło, że pokojowe załatwienie konfliktu wietnamskiego byłoby łatwiejsze, gdyby sekretarz stanu Rusk podał się do dymisji.

Powołując się na opinie ekspertów, amerykański tygodnik „US News and World Report” pisze, że kierunek rozbudowy floty radzieckiej świadczy o zasadniczym zmianie koncepcji strategicznej poprzez dostosowanie sił morskich ZSRR do wymogów, jakie stwarzają odległe lokalne konflikty typu wietnamskiego.

W Berlinie zachodnim utworzony został tzw. uniwersytet krytyczny, będący wyrazem protestu studentów przeciwko reakcyjnemu tendencjom panującym na wydziałach uczelni tego miasta. Istotą tego uniwersytetu, który ma głównie uzupełniać wiedzę polityczną studentów, sprzecywał jeden z wykładowców wyższej szkoły pedagogicznej w Berlinie zachodnim. Oświadczył on, że obecny system społeczno-polityczny w NRF i Berlinie zachodnim jest „ufarmowanym kapitalizmem o cechach faszystowskich i imperialistycznych”. Istniejące uczelnie pozbawiają — zdaniem uczelnian — studentów rzetelnej wiedzy politycznej, dostarczają im informacji „przeinaczonych i fałszywych”. „Uniwersytet krytyczny” ma na celu uzupełnienie tych braków.

Fidel Castro w przemówieniu wygłoszonym z okazji rozpoczęcia pracy brygad robotniczych, tzw. kolumn szturmowych, które objadają całą wyspę na budowlach i traktorach celem melioracji i ziorania rozległych nieużytków, oświadczył, że chociaż Kuba nie posiada dużych rzek, zostanie wykorzystane

tysiące małych rzek i potoków i w ciągu pięciu lat powstanie kilka zapór i zbiorników wodnych, których ogólna wydolność będzie dwukrotnie większa niż Tamy Asuańskiej.

Agencja DPA donosi z Pekinu, że liczba korespondentów zagranicznych akredytowanych w stolicy Chin wynosi w sumie 27 osób. W roku 1955 w Pekinie działało 43 korespondentów.

Sześć państwa Kambodży — Sihanouk o stosunkach Kambodży z ChRL: „Nasze trudności w stosunkach z Chinami są następstwem radykalnej zmiany stanowiska rządu chińskiego wobec naszego rządu. W latach 1956-66 Pekin występował jako nasz najlepszy przyjaciel. Obecnie, już od roku, pod wpływem „rewolucji kulturalnej” Pekin zachowuje się zupełnie inaczej, propagując „maoizm” nie tylko wśród Chińczyków mieszkających w Kambodży, lecz również wśród Khmerów, szczególnie zaś wśród młodzieży. Taka ingerencja w nasze sprawy wewnętrzne jest sprzeczna z zasadami pokojowego współistnienia ogłoszonymi w Bandungu, które są jedyną możliwą podstawą przyjaźni między Chinami i Kambodżą. Dlatego potępiliśmy zdecydowanie tę uprzedzającą ingerencję i podjęliśmy energiczne kroki, aby położyć jej kres”.

Bawiący z wizytą w Malajzji wiceprezydent USA, Hubert Humphrey, nawołując do ostatniej demonstracji zwolenników pokojowego uregulowania konfliktu w Wietnamie, butnie oświadczył w przemówieniu do członków kolonii amerykańskiej: „Ci, którzy krzyczą, nie pomagają nam. Jesteśmy w Wietnamie i nie porucimy go. Nie obchodzi mnie, ile odbędzie się na ten temat demonstracji”.

W Izraelu uroczyste obchodzone 50 rocznicę deklaracji Balfoura na rzecz ruchu sjonistycznego. Uroczystości odbyły się na górze Scopus w okupowanej Jerozolimie, z udziałem czołowych dygnitarzy izraelskich. W krajach arabskich natomiast odbyły się z okazji tej rocznicy wiece i demonstracje protestacyjne. 10 tys. ludzi przeszło m. in. ulicami Bagdadu wnosząc okrzyki przeciwko sjonizmowi i imperializmowi.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ChRL opublikowało deklarację, w której wyraża zdecydowane poparcie dla DRW i stwierdza, że naród chiński wykona swoje zobowiązania międzynarodowe do końca, traktując walkę narodu wietnamskiego

jako swoją własną walkę przeciwko imperializmowi.

200 do 300 osób dziennie opuszcza nadal teren okupowany przez Izrael napływając do obozów uchodźców w Jordani. Grupa około 6 tys. osób przechodzi w poprzek terytorium Izraela kierując się ze strefy Gazy ku rzece Jordan. Ogólna liczba uchodźców arabskich przekroczyła na 372 tysiące.

Jugosłowiańskie czasopismo „Komunist” stwierdza, że następuje polepszenie stosunków między Jugosławią i Albanią. Jako przykład wymienia się ruch turystyczny na punktach granicznych między oboma krajami, ożywienie wymiany handlowej i zawarcie pierwszych umów między państwami.

tam, gdzie ich nosicielem jest klasa robotnicza, gdzie partia komunistyczna — nawet jeśli działa w kraju o dominującym udziale chłopstwa i drobniomieszczaństwa — nie cofa się przed naporem tego żywiołu, lecz konsekwentnie i umiejętnie neutralizuje ten napór, przestawiając go na tory polityki socjalistycznej, międzynarodowej, międzynarodowej. Nieszczenie narodu chińskiego polega na tym, że nacjonalistyczna grupa Mao Tse-tunga, która zagarnęła ster władzy w kraju, nie zechciała przeciwstawić się nacjonalistycznej fali.

„Unita”: Żadna siła polityczna w Izraelu — poza partią komunistyczną Wilnera i pewnymi grupami postępowych intelektualistów — nie bierze pod uwagę wyco-



(Die Welt)

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZRA ponownie zwróciło uwagę użytkownikom samochodów na konieczność zamalowania na niebiesko reflektorów oraz respektowania przepisów w wypadku alarmu lotniczego. Po wyższej instrukcji traktującej się jako dalszy krok w kierunku egzekucji na rzecz przygotowania społeczeństwa na możliwość ataku ze strony wojsk izraelskich.

„Woprosy historii KPSS”: Przykład współczesnych Chin raz jeszcze dowiódł, że zasady międzynarodizmu znajdują podatny grunt tylko

fania się z okupowanych obszarów. Trzeba to mieć na uwadze, jeśli się chce zrozumieć, jakie trwały niebezpieczeństwo spowodowała pięciodniowa wojna Dajana.

Związek Radziecki prowadzi wymianę handlową z blisko 100 krajami. W roku ubiegłym obroty handlowe przekroczyły 15 miliardów rubli. Ponad 65 proc. wymiany handlowej ZSRR z zagranicą przypada na kraje socjalistyczne. Najważniejszymi partnerami są kolejno: NRD, CSRS, Polska, Bułgaria, Węgry, Rumunia.



Wół Atlantycki 1967 r.

(Die Welt)

Nożycami przez PRASĘ

WZBROJACIE I PRZEWIDYWANIE

Ostatnie tygodniki przyniosły wiele materiałów rocznicowych o różnym charakterze, sięgających nie tylko w przeszłość, ale i w przyszłość. M. in. „Kultura” informuje o polsko-radzieckich stosunkach kulturalnych. Poczynając od roku 1957 „zrezygnowanie z żywiołu na rzecz planowej wymiany kulturalnej polsko-radzieckiej odbiło się korzystnie na kontaktach obu krajów”.

Choć szczegóły wymagałyby jeszcze opracowania, to już wiadomo: Projekty planu współpracy kulturalnej przewidują działalność na okres od 1968 do 1969 roku i podkreślają w tym ostatnim roku szczególnie ważny akcent, który odbija się na wzajemnych stosunkach i układzie planów — święta 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. To będzie niewątpliwie okazją do wzbożenia wzajemnej wymiany w roku 1969. Strona radziecka zorganizuje w tym czasie wiele spotkań z polską sztuką — sesje naukowe i seminaria, konferencje i zjazdy, wystawy i ekspozycje, koncerty, imprezy estradowe, premiery polskich sztuk współczesnych w teatrach oraz pokazy nowych filmów, opracowane zostaną audycje radiowe i telewizyjne, ukaza się specjalne publikacje i wydawnictwa, zaproszeni zo-

stana z Polski wybitni przedstawiciele nauki, kultury i sztuki, aby w bezpośrednich rozmowach i spotkaniach z ludźmi radzieckimi przedstawić powojenne losy i osiągnięcia naszego kraju.

To strona polska. Strona radziecka w okresie tego dwulecia przysła nam wybitne zespoły teatralne, symfoniczne, operowe, baletowe i solistów. Ten sam numer „Kultury” zawiera szkice Janusza Termiera, poświęcony wciąż mało u nas znanej twórczości Borysa Piłniaka, który wywarł wpływ i na naszą prozę. (Piłniak: „Wola” wpada do Morza Kaspijskiego”). Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie”. Termier, przypominając przedwojenne przekłady Piłniaka na polski, postuluje:

Przed wojną więc, rzecz paradoksalna, książki Piłniaka miały u nas więcej szerszą niż obecnie. Warto byłoby na pewno wznowić „Wolę...” i „Sobowótory”, które z takim wyczuciem ducha oryginalnego tłumaczył Władysław Broniewski, warto może również wznowić oba zagraniczne reportaże Piłniaka; nie straciły one specjalnie na aktualności, nabierając po latach wagi niezmiernie ciekawego dokumentu.

JEŻ, PISARZ ZAPOMNIANY

W „Twórczości” p. Alija Dukanović przypomina dzieje

twórczości T. T. Jeża czyli Zygmunta Miłkowskiego, pisarza o burzliwym i pracowitym żywocie. Okazję stanowi belgradzka monografia pióra doc. dra Stojana Subotina, jako że Jeż był piewą narodów bałkańskich, ich walki o przetrwanie i wolność. Jest to więc spłata długu wielkiemu przyjacielowi Słowian Poludnia.

Ogół pisarzy wielce popularny, dziś i u nas prawie zapomniany, choć to i owo da się znaleźć w księgarniach remanentach. Ma swoją ulicę w Belgradzie, ale jego recepcja jest nikła. Po wojnie właściwie o jego twórczości nie pisało, choć w encyklopedii Orgelbranda uznano go za „jednego z największych polskich pisarzy”.

Mimo podległej krytyce wartości poznawczej dzieł Jeża, monografista twierdzi, że odegrały one duże znaczenie, nie pamięć jest krzywdząca.

Pewien warszawski księgarz wierzy, że gdyby Jeż wznosił się — „szedłby jak Kraszewski”.

A no, może warto zaryzykować i P. Dukanović wymierza jako godne uwagi „Pamiętniki starającego się” i pamiętnik pisarza „Od kolebki przez życie”.

POSTAWY

Frapujące, choć niekoniecznie skomplikowane porównania oby czajowe mogą czynić ludzi, którzy dużo jeżdżą. My, co prawda, też jeździmy, ale raczej po województwie. Dlatego z zainteresowaniem przeczytaliśmy w „Życiu Warszawy” (znowu czyniac odstępstwo od praktyki) kolejny felieton Jerzego Putramenta, który tym razem był we Włoszech. Pisz o młodzieży z placu Świętego Marka w Wenecji.

Nie jest ona ani rosła, ani szczególnie przystojna. Ubrana, jak wszędzie, rozkładana, jak wszędzie. Ale, w przeciwstawie do niektórych innych krajów, ani bardzo hałaśliwa, ani awanturnicza, ani przesadnie „swobodna” w gestykulacji między przedstawicielami płci obojga. To znaczy, nie widać tam obłąpanych par, które u nas demonstrują swoje rozczarowanie uczuciowe bez względu na miejsce i porę dnia, myśląc, że to i ładnie i „odważnie”.

Co ważniejsze, ta młodzież wenecka jest tylko wesoła, nie jest agresywna. Nie czuje potrzeby utwierdzenia własnej „dojrzałości” napastowaniem innych. Z czego się to bierze? Ja wiem? Może i wiem co nieco, ale nie powiem.

Bardzo żałujemy, że Putrament wie, ale „nie powie”. Może jednak namyślił się i przy innej okazji „powie” o tym, co jest troską tak wielu ludzi?

OTO JEST PYTANIE...

„Kamena” zamieściła notkę takiej oto treści:

Jak się ostatnio okazało, wśród 1155 lokatorów nowych domów w Białymostku, którzy nie placą komornego, jest 100 rodzin, z których nikt nigdzie nie pracuje. Zastanawia nie tylko fakt z czego te rodziny żyją, ale przede wszystkim, w jaki sposób uzyskali one przydziały mieszkaniowe?

Świetny temat dla docieklwego reportera. Jak do tego doszło? Kto podważa nasze elementarne pojęcia o moralności społecznej?

JAN OLECHNO

Szkic do aktu pierwszego

Dalszy ciąg ze str. 1

wieść produkcyjną. Opisałbym na przykład — daleko szukać nie trzeba —

BUDOWĘ ELEKTROCIĘPLOWNI ŁÓDŹ III

Pewnie, nie jest to łatwe. Należy stworzyć tło, na którym zawisną się i rozegrają ludzkie losy. Należy trafić w klimat, zwiewny i nieuchwytny... Początek listopada, blade słońce nad Łodzią, blade słońce nad nowymi Bahutami. Jeszcze z daleka — komin na sto dwadzieścia metrów, wydaje się szczupły, strzelisty, rozchylany na wietrze — ale z bliska to wrażenie bierze w łeb: sześciu chłopów nie obejmuje go w tali; ktoś wspina się mozolnie po drabinie, maleńki, jak mucha, a ty patrzysz z dołu i masz zawroty głowy, i odwracasz wzrok ku ziemi, która — choć dzień bezchmurny i suchy, i deszcz nie pada od tygodnia — nachodzi brudna, mętlna woda. Trzeba by opisać cały ten teren trzynasto- i półhektarowy, i od razu nadmienić, że dla dobrego rozłożenia sprzętu i robót brakuje tu co najmniej dwóch hektarów. Każdy skrawek placu wykorzystany maksymalnie, piętrzą się stopy rur i prefabrykatów, góry czerwonej cegły, kompleksy gotowych elementów budowlanych, nad którymi schyla się dostojny gigantyczny, sześćdziesięciometrowy dźwig. Zarządy budownictwa: kotłownia o konstrukcji stalowej, bunkrownia z żelbetonu, maszynownia z turbozespolami i rozdzielnicą potrzeb własnych. Budynek główny ma być zamknięty i ogrzany nim nadejdą mrozy, tak aby umożliwić ciągłość prac montażowych zimą, aby dotrzymać napiętych terminów. Dalej — trzeba by pokazać zrzęby rozdzielni 110 KV i 15 KV, plac węglowy, galerię nawęglania, budynki przesyłowe, tunel skośny, tasmociąg, budynek zmniejszania wody i fundamenty budowlano-administracyjno-socjalnych. Tymczasem — biuro budowy mieści się w starym, poniekąd pałacowym, który ma swoją wojenną historię, i dobry pisarz zaraz by odskończył trochę w przeszłość, pokazał polskich żołnierzy ukrytych za szpalerną kartowatych drzew z bronią w ręku i odwetem w sercu. Na końcu pisarz uroniłby łzę, gdyż pałacowy skazany jest na techniczną śmierć.

Rzecz jasna — cały ten zewnętrzny opis należy odpowiednio dawkować, nie tak nachalnie i jednym ciurkiem jak ja. Raz niech on wyjdzie w dialogu, raz w opisie, to znówu niech się syczy w strumieniu świadomości bohatera — raz pokazać ludzi w czerwonych hełmach uczipionych stalowych konstrukcji, raz pociąg z węglem pracy z wolna skrajem placu, to znów samochody z przezebranymi grzeźnami w bloku po repery i ratowane przez cierpliwie ciągniki.

No, ale opis, choćby najlepszy, nie robi jeszcze książki. Tu potrzeba jest konfliktu, jak to się pięknie mawia w szkole — rozwiązanie dramatu, potrzebni są ludzie z niebanalną biografią. Ludzi takich można

wymyślić — ale w wypadku EC-III, — nie trzeba. W wypadku EC-III żyłorysy ludzi autentycznych wystarczą i wystarczy chyba autentyczny tok wydarzeń. Weźmy dla przykładu naczelnego dyrektora budowy, inż. Eugeniusza Graczyka. Gdzie ten, nie-młody już człowiek hartował swoją wolę? Jak to się stało, że budowa, która przed rokiem przypominała dno grząskiego stawu — jest już na drodze do celu? Czy nie ma na to wpływu całe złudne, wypełnione ciężką pracą życie Graczyka? — wiedza, którą zdobył rozbudowując elektrownię w Łaziskach Górnych? — upór, którego się nauczył przy budowie elektrowni w Miechowie? Od wyzwolenia do 1954 roku Graczyk pracował na Śląsku — podczas gdy jego żona mieszkała w Łodzi — tam wszedł mu poniekąd w krew śląski dyl i śląska sumienność w pracy. Graczyk — jeśli go spytać o Ślązaków — nie umie kryć swoich sympatii i podziwu. Graczyk mówi, że gdyby... no, wszystko jedno, gdyby ktoś chciał pisać książkę, to dojrzał do sedna sprawy. Dość, że w 1954 r. Graczyk przyjechał do Łodzi, gdzie budowała się wtedy EC Łódź II; został naczelnym dyrektorem budowy z ramienia inwestora i pewnego pięknego dnia zgłosił się u niego w gabinecie inżynier Pirecki. Pirecki przyjechał akurat z Gdańska. Pirecki jest postacią niezwykłą. Myślę, że gdyby ktoś chciał pisać powieść produkcyjną — obrabiałby właśnie Pireckiego głównym bohaterem. Pirecki walczył w czasie wojny w Batalionach Chłopskich na obszarach województwa kieleckiego i był parę razy ciężko ranny. A to już wyniósł się jakiś spod kosa i po wyzwoleniu — młody, przystojny, nalaadowany energią inżynier został pełnomocnikiem Rządu na Ziemiach Odzyskanych — konkretnie: w Szczecinie. 10 lipca 1945 r. zaczęła się gwiazda Pireckiego nagle zgasła. 10 lipca Pirecki pojechał przejąć od władz radzieckich obiekt przemysłowy w Storkowie koło Stargardu Szczecińskiego i w drodze eksplodowała pod samochodem mina, którą Niemcy zostawili na pamiętkę. Kto wie, co to są poparzenia czwartego stopnia twarzy i ręki, drugiego i trzeciego stopnia nóg, temu zaoszczędzę dalszych opisów. Zmasakrowane ciało, złamane serce. Zabrałoby przyjaciel, których dotąd liczył na pomocą. Zabrakło w tych najcięższych chwilach żony. Cztery razy zamach na życie, które lekarze i tak liczyli na miesiące... Ale potem przyszedł rok 1947 i okazało się, że Hemingway mówi prawdę: człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać. Ktoś zaproponował Pireckiemu posadę nauczyciela w szkole zawodowej i on się tego chwycił jak tonący brzytwy. Prowadził wykłady o wytrzymałości materiałów i częściach maszyn — i przyszła chwila, że się znowu poczuł potrzebny. I tu się zaczyna historia odnowy, triumf człowieka nad samym sobą. Zapewne, gdyby ktoś pisał książkę, pogłębiłby tę historię psychologicznie. Ja ograniczam się do faktów. Ze szkół trafił Pirecki do Stoczni Gdańskiej i pracował tam jako kierownik Biura Konstrukcyjnego, a w roku 1954 przyjechał do Łodzi, i pewnego pięknego dnia zjawił się w gabinecie dyrektora Graczyka na budowie EC-II, co wcale nie jest bez związku z historią EC-III. Ale po kolei: Graczyk zatrudnił Pireckiego, jako inspektora nadzoru EC-II i Pirecki dobrze to zapamiętał. Rzadka i piękna to zaleta: do chowanie wdzięczności. Kiedy w maju ubiegłego roku związany z budową EC-III Graczyk borykał się z trudnościami, kiedy był w stałych konfliktach z generalnym wykonawcą, i z częścią załogi — mówili o nim „Optymista”. „Człowiek, który się porusza z motyką na słońce” — kiedy nikt nie dzielił z Graczykiem wiary w możliwość zrealizowania ambitnych planów — wtedy zjawił się Pirecki i wyciągnął do Graczyka swoją prawą, rozharataną rękę. Było ich

dwóch. Potem przyszedł z LPBM nr I młody, energiczny inżynier, Jerzy Lubowski — i było ich trzech. Zaczeli pakować załóżkę do głowy — wszyscy na raz i każdy z osobna — że wykonanie pierwszego etapu robót w terminie skróconym o dziewięć miesięcy, a więc w czwartym kwartale 1968 roku, jest nie tylko możliwe, ale konieczne, że to sprawa życia i śmierci dla miasta, które buduje nowe osiedla, ale zagrożone brakiem ciepła.

I tu dotknijmy jednego z autentycznych, dramatyzujących akcję powieści elementów: * W 1964 r. było w Łodzi 198 gigakalorii ciepła

* W 1967 r. już 440 gigakalorii

* W 1969 r. wraz z dynamiczną rozbudową miasta — bloków mieszkalnych i zakładów przemysłowych — będzie potrzebna 560 gigakalorii — i na tę nadwyżkę czeka się już od EC-III. Gdyby EC-III, owa instalacja ciepła, nawałita z terminem, to byłby w Łodzi... powiedzmy sobie: kataklizm. W mieszkaniach i fabrykach zabrakłoby gorącej wody; w kranach, kaloryferach, trzeba by przebudowywać wnętrza, stawiać kanonki i piece, nie wykluczone, że zakłóciło by to cykl produkcyjny przemysłu...

Wiele w końcu roku 1968 pierwszy etap robót — uruchomienie dwóch kotłowni o wydajności 130 ton pary technologicznej na godzinę i turbozespolu o mocy 35 MW — jest nieuchronną koniecznością. Pirecki, który oprócz funkcji zawodowej został sekretarzem POP — wbił do ludzi w pamięć przy każdej okazji. Były różne spiecia — było paru rozleniwionych inżynierów, ale już ich nie ma, było kilku rozgrymaszonych robotników, jako że w Łodzi i w Polsce ręk do pracy cholernie wszędzie potrzeba, i jeśli już ktoś komuś robi łaskę, to właśnie robotnik (jak to się, panie dzieciu, zmieniają czasy); ale, trzeba przyznać, praca jest ciężka i pensja znowu — żadne kokosy, najlepszy dowód, że trzon załogi stanowią ludzie spoza Łodzi, żyjący w hotelach robotniczych tym ciężkim życiem z dnia na dzień. Gdybym pisał powieść produkcyjną, pokazałbym: — cięśli, zbrojarzy, szoferów i murarzy — cały ten ogromny i różnorodny kolektyw, od którego zależy przebieg prac, który — oprócz siły w rękach i nogach — musi mieć jeszcze dobrą wolę, świadomość wielkiego celu, i wiary w jego spełnienie.

Wiele ta wiara przyszła. Lubowski, który w EC-III jest zastępcą kierownika nadzoru budowlanego i ma w sobie energię za jakichś czterech ludzi — dopilnował wmontowania fundamentów pod kotły. Kto zna się trochę na budownictwie przemysłowym — będzie wiedział, co to znaczy. Ale nie będzie wiedział, że wmontowanie tych fundamentów w roku 1966 — miało w założeniu wielu przeciwników, że dla niektórych było to „za wcześnie”. Na szczęście kierownikiem budowy, a więc generalnym wykonawcą EC-III, był już w tym czasie inż. Andrzej Nowacki (jego poprzednik odszedł) i stosunki pomiędzy Nowackim a Graczykiem — między wykonawcą a inwestorem — ułożyły się pomyślnie. Nie, żeby obsesja się zupełnie bez zgrzytów, coś takiego jest niemożliwe — inwestora zawsze boli głowa, żeby nie było za drogo, wykonawca znowu, aby szybko pracować, musi mieć silne środki dopingu dla swoich ludzi, i jakie to są środki — dobrze wiecie. W każdym razie — obok tych drobnych zgrzytów było wzajemne zrozumienie, wzajemna skłonność do kompromisów, no i wreszcie — wspólna troska o dotrzymanie skróconego terminu budowy. Nowacki wpajał swoim ludziom skalę pilności — tak, że przy wszystkich trudnościach — kadrowych, terenowych i glebowych — do dzisiejszego dnia wykonano już około 40 procent robót przewidzianych na pierwszy etap.

Gdyby ktoś pisał produkcyjną powieść,

musiałby oddać sprawiedliwość Komitetowi Partii (jak Komitet nie krzyknął, to kooperanci śpią), pokazać, ile to spraw załatwiło się właśnie przy Jego pomocy. Ale też Komitet najlepiej zdaje sobie sprawę z kompromisów, jakie przyniesie Elektrociepłownia: 505 gigakalorii ciepła (jedna gigakaloria może ogrzać tysiąc izb), 180 ton pary technologicznej, 200 MG energii elektrycznej, którą, gdyby jej było za dużo w Łodzi, można transmitować do innych województw, a nawet za granicę. Dzięki skojarzonej gospodarce — niemal maksymalnego wykorzystania ciepła — EC-III będzie jedną z najmocniejszych inwestycji tego typu w kraju, a może nawet w Europie. Do EC-III podłączy się około 90 zakładów przemysłowych, co zlikwiduje w zadyumionej Łodzi co najmniej 100 kominów. Poprawi to automatycznie warunki higieniczne miasta: mniej popiołu, śmieci i sadzy, którą osiada na rzęsach; więcej czystego powietrza...

Ale wróćmy do naszych bohaterów. Jednym z nich byłby na pewno brygadziśta betoniarz — Bolesław Biela, człowiek zaprawiony przy budowie EC-II i Elektrowni Adamów; gdyby go spytać, miałby do opowiedzenia całą długą historię swojej pracy. Innym — stary, doświadczony zbrojarz, Marian Jurga; czyż życie tego człowieka nie jest pięknym przykładem twórczej roboty? Jeszcze innym — mgr inż. Urbanik, którego dyr. Graczyk ściągnął do EC-III ze Śląska. Urbanik konstruował kotły w Tarnowskich Górach, a teraz buduje te swoje kotły w Łodzi. Graczyk ma pewne obawy, że Urbanik klnie go z lekka w duchu, bo na Śląsku miał lepszą robotę i nie lepszą pensję... Pytam się inżyniera Urbanika, czy naprawdę klnie dyrektora, ale on nic nie mówi, tylko się uśmiecha.

Skoro już jesteśmy przy Śląsku — mamy jeszcze jednego bohatera... Nie inżynier, nie cieśla, nie zbrojarz... Graczyk mówi o nim: „Budował już ze mną jedną elektrownię”. Jak myślicie: kto mógł z dyr. Graczykiem budować elektrownię? Dziennikarz, redaktor „Trybuny Robotniczej” — Józef Janik. A teraz Janik buduje z Graczykiem EC Łódź III. W „Trybunie Robotniczej”, na pierwszych kolumnach, ukazał się cykl artykułów red. Janika pod hasłem wywoławczym: „Trójkąt pełen konfliktów”. I myśli się ten, kto sadzi, że były to publikacje o charakterze informacyjnym o tym, jak to w dalekiej, robotniczej Łodzi powstaje wielka inwestycja. Red. Janik postawił sobie inny cel: interwencję! Ow „trójkąt konfliktów” — to Łódź — Sosnowiec — Kielec: inwestor — dostawca — kooperanci, Janik pojechał do Łodzi i do Kielec; on, śląski dziennikarz, został rzecznikiem łódzkiej interesów. Interweniował w Zakładach Budowy Urządzeń Chemicznych i Armatury Przemysłowej w Kielcach i akcja ta umożliwiła realizację zadań kooperacyjnych przez sosnowieckie „Kotły” — co z kolei miało zasadnicze znaczenie przy wykonaniu harmonogramu robót na terenie łódzkiej budowy; wyciągał na światło dzienne wszelkie potknięcia dostawców, każdą zwłokę w dostarczaniu materiałów, każdą usterkę techniczną. Był najopertwiejszym pośrednikiem pomiędzy trzema miastami, i Graczyk wcale nie tai, że red. Janik zrobił o wiele więcej dla EC-III, niż wiele groźnych listów i telefonów oficjalnych.

Oto, co może dziennikarz. Oto, co może człowiek świadomy tego, że interes, wielki interes Łodzi, jest także interesem całego kraju.

Oto, co mógłby opisać literat w swojej powieści produkcyjnej. Co mógłby opisać lepiej ode mnie, gdyż miałby do pracy dużo czasu, rok albo i dwa lata, a mnie szef dał na ten reportaż tylko osiem godzin.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

J. STANISZ

Trudne sprawy kultury laickiej

Z pewnością nie należy do odkrywczych spostrzeżeń, że w prasie łódzkiej własna publicystyka — zajmująca się problemami kultury laickiej czy też różnymi aspektami polityki wyznaniowej w naszym kraju — należy raczej do rzadkości.

W tej sytuacji już sam fakt wkroczenia na ten teren p. Aliny Grabowskiej*) zasługuje na podkreślenie.

Spoleczna waga spraw poruszonych w tym artykule, a co ważniejsze — sposób w jaki zostały one sformułowane, nasyca szereg wątpliwości i zastrzeżeń. Nie chodzi jednak w tym przypadku o perspektywę Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, o jego przyszłe założenia programowe oraz kierunki i zasięg działania, którym to kwestiom poświęcony jest wyżej wymieniony artykuł. Niezależnie od tego, że sprawy istotne dla ruchu laickiego w Polsce, o czym świadczy prowadzona na ten temat dyskusja w prasie Stowarzyszenia.

Natomiast wątpliwość budzą rozważania autorki, dotyczące aktualnych warunków w jakich działa ruch laicki w Polsce.

Jest rzeczą oczywistą, iż wiele przyczyn złożyło się na to, że społeczeństwo nasze — zróżnicowane pod względem światopoglądowym — jest jednocześnie społeczeństwem, w którym owoce roz-

wija się współpraca ludzi wierzących i niewierzących we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. Stajemy się społeczeństwem tolerancyjnym i w coraz szerszym stopniu uznajemy zasadę, że zarówno religia, jak i przekonan- nia religijne są sprawą prywatną poszczególnych obywateli. Nie pomniejszając roli takich czynników jak wzrost poziomu wykształcenia i kultury podkreślić jednak należy, iż źródłem tych pozytywnych przemian w naszym społeczeństwie szukać należy w całokształcie przeobrażeń socjalistycznych, dokonujących się w naszym kraju.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje wpływ — jaki na te przemiany — wywarła i wywiera słuszna polityka wyznaniowa naszej partii i państwa.

Na te trendy wywierała się dość oczywistych prawd nie może nie budzić zastrzeżeń następujące stwierdzenie: „Do wielu przyczyn, które złożyły się na te wyraźne zmiany w postawie społeczeństwa, dochodzi także zmiana w oficjalnym stanowisku Kościoła katolickiego wobec naczelných spraw naszej epoki”.

Prawda jest, że nastąpiły zmiany w oficjalnym stanowisku Kościoła katolickiego, i to nie tylko w sprawie wojny i pokoju, ale również wobec kapitalizmu i socjalizmu, inaczej formułowane jest stanowisko wobec wyznawców innych religii, ludzi niewierzących, a nawet ateizmu. Sugestia autorki jakoby to nowe stanowisko Kościoła katolickiego stanowiło jedną z przyczyn zmian, jakie zaszły w naszym społeczeństwie nie wydaje się słuszną. Nawet przy założeniu, że rzeczywiście to stanowisko Kościoła wywiera pozytywny wpływ na postawę społeczeństwa, to nie trudno zauważyć, że może to się odnosić jedynie do społeczności katolickiej, która jednak w żadnym kraju, a więc i w Polsce, nie może być identyfikowana z całym społeczeństwem. Jeśli jednak rozważamy przemiany zachodzące w naszym społeczeństwie, to jest rzeczą co najmniej dziwną pominięcie milczeniem

stanowiska polskiego episkopatu nie tylko „wobec naczelných spraw naszej epoki”, ale również wobec zasadniczej dla naszego narodu sprawy budownictwa socjalizmu w naszym kraju. Czyż trzeba przypominać, że postawa polityczna kierownictwa Kościoła katolickiego w naszym kraju nie uległa zmianie, że jest to postawa anachroniczna w stosunku do zmian, jakie nastąpiły w oficjalnym stanowisku Watykanu. W ostatnim okresie, ośrodku kierowniczym Kościoła katolickiego w Polsce, pod hasłami odnowy soborowej, kierują uwagę ludzi wierzących na groźące Kościołowi niebezpieczeństwo ze strony ateizmu. Tej rzekomej groźbie episkopat polski poświęcił list z dnia 15. VI. br. odczytany z ambon w dniu 3. IX. br. Szczegółową analizę tego dokumentu przynosi ostatni numer „Faktów i Myśli”). Tak więc zmiany w postawie naszego społeczeństwa dokonują się jakże często wbrew stanowisku reakcyjnej części polskiego episkopatu, to właśnie ta sytuacja powoduje minimalizowanie wpływu zmian zachodzących w Kościele katolickim w ogóle, na społeczność katolicką w Polsce.

Słusznie odrzucając koncepcje „wojującego ateizmu” redaktor A. Grabowska nie zdołała się ustrzec pewnych prymitywnych sformułowań, charakterystycznych dla — na szczęście coraz rzadziej spotykanej — dawnej propagandy ateistycznej.

Do nich zaliczyć należy stwierdzenie, że nowe stanowisko Kościoła katolickiego wobec naczelných spraw epoki — „jest obecnie zbliżone do stanowiska wierzących na całej kuli ziemskiej”. Czyżby rzeczywiste siły społeczne walczące o pokój i postęp można utożsamiać z niewierzącymi, i czy najbardziej reakcyjne koła imperialistyczne są pozbawione ateistów w swych szeregach? Fronty walki politycznej i ideologicznej nie pokrywają się z podziałem na wierzących i niewierzących. Jeśli nie uznajemy podziału na wierzących i niewierzących w analizie zjawisk

społeczno-politycznych w kraju — co zostało w artykule podkreślone — to należy być konsekwentnym przy rozpatrywaniu tych zjawisk w skali światowej. Niezbyt szczęśliwym zestawieniem jest porównanie historii archaniołów z historią kosmonautów, dla wielu ludzi faktycznie ta pierwsza wygląda już archaicznie. Ale wcale nie jest pewne czy dla ludzi wierzących ten argument jest tak oczywisty, jakby się pozornie wydawało. To samo należy powiedzieć w stosunku do stwierdzenia, że „era lotów kosmicznych i wielkich wynalazków”, bez żadnej przenośni „zblżyły do ziemi niebo”, jest to truizm, o ile przez niebo rozumiemy przestrzeń kosmiczną i znajdujące się w niej planety.

Jeśli pojęcia „niebo” używamy w sensie religijnym, a więc jako miejsce wiecznej szczęśliwości po śmierci — to nie osiągnięcia techniczne przybliżają tak pojęcie niebo do ziemi, ale przede wszystkim zmiana warunków społecznego bytu człowieka osiągnięta poprzez budownictwo sprawiedliwego ustroju społecznego. Rola osiągnięć technicznych w tym procesie jest oczywista.

Na zakończenie nasuwa się uwaga, że nie tylko świat współczesny jest trudny i skomplikowany, nie mniej złożone i nielatywne są również sprawy kultury laickiej i problemy wyznaniowe. W tej sytuacji byłoby celowe szersze omówienie, dyskusowanego obecnie, kształtu ruchu laickiego w naszym kraju. Jest to jednak sprawa wymagająca odrębnego potraktowania.

*) A. Grabowska — Problemy kultury laickiej. Sprawy naszej epoki, „Głos Robotniczy” nr 250 z dnia 20. X. 1967 r.

*) W. Mysiek — Antyateistyczna „obsesja” episkopatu, „Fakty i Myśli” nr 20 z dnia 16-21. X. 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze

Oto co przydarzyło się redakcyjnemu wozowi — a i mnie przy sposobności. — Ale po kolei — i bez wody! — jak mówił pewien pan z czarnymi włosami — też z pańskiej redakcji.

Gdy Siedemsetlecie szło do Piotrkowa a za nim Pani Jesień — tym razem w miękkich bamboszach, w długich sukniach i ciepłym szalu na szyi — a my za nią kogoś za kołem wolnośmy się powalili, nie mogąc wypłatać się z zawoju jej przyodziewku — i gdy duchy drzew i domów mi jąły nas powoli z obydwu stron drogi — i gdy tak do brnęliśmy do Tuszyńskiego Lasu klnąc te poniesienie musliw w żywym kamieniu — wóz zatrzymał się sam, z własnej woli, bez udziału kierowcy.

— Nie powiem, żeby stanął przedko! — ale powoli, nieznacznie się zatrzymał i drzewiczki wolno się otworzyły. I gdy patrzyłem zdziwiony na kierowcę, co by też to mogło znaczyć, kierowca rozpiął się w powietrzu i znikł jak mgła.

A siedzenie wozu sprężyło się i doło mi nagle kopa od spodu tak, że w mig znalazłem się na zosi.

I zacząłem oglądać „warstwą” ze wszystkich stron, jakbym ją pierwszy raz zobaczył, bo jeszcze nigdy coś po dobnego mi się nie zdarzyło. Urządzenia sterujące i zegary gdzieś się zapodziały, kierowca zniknął i wszystko zaczęło się dziać nie tak, jak należy. I to w biały dzień, panie Redaktorze!

Nie wytrzymało długo, a tu karoseria wypuszcza sierść, kółka się rozwijają i robią się z nich wysokie nogi, opony w

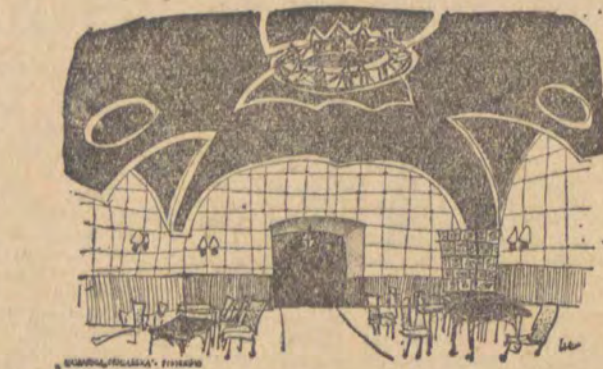


kopyta się zamieniają, siedze nie rozciąga się w długi turłów, z tulowia wyrastają cztery wielkie skrzydła, z zadka występuje ogon jak wodotrysk, z piersi wygięty kark, z karku spływa na obie strony grzywa, jak warkocze płaczące wierzby i na szyi pojawia się łeb; na czole rozmierzwiła czupryna, pod prześmiewne oczy, a pod oczami uśmiech — nie uśmiech — geba jak cholewa! I tak samochód zamienił się w konia — jedno skrzydło wypadło na jedną nogę: — górą napęd powietrzny — dołem ziemny, a w środku siedemdziesiąt pięć koni mechanicznych z kierowcą na dodatek!

Na zewnątrz koń otwiera głębię i pry:

— „Cóżcie tak zbaranieli, ko lego! Koniaście nie widzieli? — siadajcie, to was podwiożę”.

Przyznaję ze wstudem, Panie Redaktorze, że troszkę zba



raniałem, ale nie było czasu na cegiele, bo koń niecierpliwie machał ogonem i kopytem stukał po asfalcie. Więc chcąc, nie chcąc wlałem mu na grzbiet byle jakim okraikiem, jako że nigdy jeszcze koniskim wierzchem nie jeździłem i brak mi wprawy. I zaczęliśmy doganiać Rocznicę, która już porządnie naprzód się wyśrodkowała.

Wysiliśmy tedy nad las, zostawiając pole i drogę w dole, ale Pani Jesień była szybsza, bo gdy znaleźliśmy się nad Rykiem Trybunalskim, wieże tylko kościołów i co wyższe kamienie wystawały z białych jej zawoju.

Splanowaliśmy tedy prościu sienko na Stare Miasto na sam Rynek i siedliśmy akuratnie na miejscu starego ratusza, którego plan zaznaczony jest ciemniejszymi płytami.

— I zaraz też wyrosły wokół nas równym czworobokiem wystrojone domy, wypu cowane w kolory i ozdoby, z wyczyszczonymi szybami okien i ukwieconymi balkonami.

Pani Jesień kładła ciepłe dłonie na odnowionych murach poprawiając to i owo w porannej toalecie i ocierała dachy z porannej rosy.

Umyte domy poprostawiały i wypuszyły się do przodu, wypinając piersi.

Pojawilo się Siedemsetlecie ze swoją asystą i zaczęło im przypinać ordery, herby i znaki ze wstęgami, kokardami i rozmaitymi napisami.

Milenijna muzyka zaczęła grać, w oknach pojawiły się uśmiechnięte twarze, otwarto się sklepy, kawiarnie i restauracje i cały Rynek zaroił się światłem.

I właśnie wtedy, gdy zaczęło być wesoło — znowu po jawił się ten pan z czarnymi włosami, podniósł palec do góry i powiedział „woda”.

A potakiwał mu drugi redakcyjny pan kiwając długim nosem: „ad meritum”!

No i zaraz wszystko wróciło do normy — tylko, herby zostały na domach, jak kotyliony na klapach balowników.

— Ano — jak ścisłe, to ści śle!

— A więc krótko i po kolei.

— Konia odstawiłem do kawiarni „Pod Ormianinem”. Paszół won! Nie będę się z takim niemożliwym zwierza-

Informuję Pana, Panie Redaktorze, że to jest czysta prawda, a nie żadne łanie wo dy! — Jeżeli ktoś nie wierzy, niech prędko przyjedzie do Piotrkowa, aby zobaczyć na ulicach i placach ciepłe jeszcze łaski Pani Jesień!

— Chodząc tedy po ulicach rysowałem, a rysując chodząc, aż dobiegłem do Muzeum — gdzież by indziej?

— I tam mi się zrobiło niedobrze — bo gotycko renesansowy zamek jest w remoncie od pięciu już lat, rozpruty na środku, sfatygowany od zewnątrz, i nadbudowany świe żą cegłą aż po trzecie piętro, tonąc w kurzu, deskach, wapnie i wszelakich śmieciach. I środek ma brzydko porozrywany i zakopcony; — i z tego bałaganu ledwie wizerają stróskane oczy pana Wójcika, który pilnuje tej okropności.

— I podobno ten bałagan ma trwać jeszcze ze trzy lata — a robia koto tego zamku warszawskie Pekazety. Wszyst kie muzealne eksponaty pouły kano gdzieś po kątach tak, że widać tylko wielką rzeźbioną czarną szafę, stoliki zawalone książkami i zakurzone stęża-

— A Pani Jesień przyszytwa cowa coraz silniejszym stożcem, zrzuciła po kolei szatki na miasto. I tak: na plac Kościuszki, akurat pod ten



biły barokowy dom spadły bambosze, jedna suknia sfru nęła na Rynek Trybunalski, druga na Rynek Czarniecki, trzecia na Krakowskie Przed mieście, białizna na Warszaw ską a szal okrył się wokół grubej wieży kościoła Farnego.

— I jesień bosa i rozebra na do gołuska przez figlar

ne słońce unika chyłkiem za horyzontem, przysłaniając się włosami gdzieśniedzie, i krytożarózwione co nieco w sos nowych lasach aż dopadła Su lewskiego Opactwa, aby w jego murach uzupełnić przy odziewek.

— Feta ma się odbyć na początku listopada i jak mówi zwawo krzątający się persone — oprócz oficjeli z Piotrkowa, Łodzi i Warszawy ma przyjechać minister Kultury i Sztuki — sam pan Lucjan Motyka.

— Riwetes więc ogromny i sterty książek hulają na nowutkim parkiecie, pod białut kimi ścinnami jeżą się metalowe regały, gotowe do przyjęcia książek.

— Cała bóżnica prześliczna w środku, o wiele piękniejsza niż z zewnątrz, biała z dyskretnymi architektonicznymi reliefami pod gzymsem.

— Cała ta biel jest jak światło, świecące w załomach wnętrza — jak zasnęły śniegowe na Boże Narodzenie.

— Podobno na plafonie miał być fresk — dużo się o tym szeptowało — ale nie widać i trzeba przyznać, Panie Redaktorze, że tak wszystko na białe jest o wiele piękniej niż z malowidłem.

— Tutaj Rocznicę wejdzie już niedługo, za parę dni.

— Stąd ten gorączkowy wesoły pośpiech i wiadomości rzucające w przelocie między jedną stertą książek a drugą.

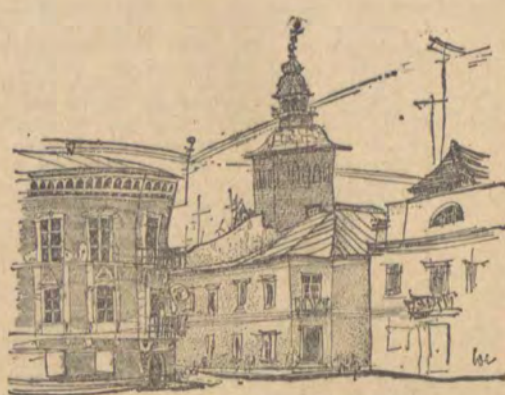
— Pożegnałem się z miłym panem, wziąłem jego adres, i dałem mu swój, bo dobrze mieć wszędzie znajomych — i znowu rysowałem i to i owo, i tu i tam i tak dalej.

A do żadnego urzędu nie wstępowałem po informacje ściśle, bo od tego są Roczni ki Statystyczne, które wyczer

tym przerażeniem oczy opie kuna.

— I że ten cały remont kosztował będzie 5-6 milionów złotych i potrwa jeszcze parę lat!

— O, tutaj Siedemsetlecie cofnęło się już od progu na dłuższy czas, zanim przypnie zamkowi order.



przyciągał obłędnie każdego — jak należy.

— Gdy wszedłem na Rynek, przypomniał mi się koń. Wdepnąłem więc do kawiarni — a ten KON, panie Redaktorze, okazał się babiarz — a nie żaden koń!

— Siedział rozparty jak król zewsząd otoczony babkami: jedna karmiła go ciastkami z talerzyka, druga wlewała mu koniak do gęby, trzecia poila tyżeczkami kawy, czwarta trzymała go pod rękę — to znaczy pod przednią nogę, piąta obejmowała za szyję, szósta rozczesywała czuprynę, siódma głaskała po uszach, ósma rozplatała i zaplatała grzywę, dziewiąta porządkowała skrzydła, dziesiąta lakierowała kopyta, jedenasta poklepywała mu brodę, a dwunasta ta najbardziej przystojna całowała go w policzek.

— I gwar był nieopisany, śmiechy i szczebiotania płaszące i rzenie konia od czasu do czasu, brzękania kielichów i jakiś przy tym fortepiano wa muzyczka, bo trzynasta babka pinkolita w kącie na pianinie tak, że KON w koniaku zupełnie się rozpegażył.

— I miałem cholerny kłopot z wyciąganiem go z tego klebowski bab — bo nie chciały go za nie puścić i cze piali się go, gdzie popadnie.

— W końcu po półgodzinnej szarpaninie towarzyszywo jakoś oprzytomniało i koń, jakkolwiek niechętnie wstał od stolika.

— Przedtem jednakże odbyło się wielkie całowanie Konia; — z każdą babką musiał się pocałować ten kiekarz.

— Aż się mdo od tego ro biło, Panie Redaktorze!

Gdy wracaliśmy przelatując nad białymi wieżami Sroka, Koń mi powiedział, że Piotrkowianki są ładniejsze od Łódzianek.

— Ale ja nie wierzę — bo to stary plotkarz, a nie żaden przyzwolny zwierzak.

— Bo wiadomo już od dawna w naszym razem i każdej mu z osobna, że ładniejsze na świecie są Łódzianki.

— A w Piotrkowie — ow szem — zdarzają się, ale raz na siedemset pięćdziesiąt lat.

Łączę wyrazy szacunku
WACŁAW KONDEK

ZOFIA LIBISZOWSKA

Florence w rok po potopie

CZWARTY LISTOPADA 1966 R. i następne koszmarnie dni grozy nazywają mieszkańcy Florencji „dniami szatana”. Wzbrana od deszczu rzeka, zasłona wodami wzburzonych potoków górskich, ruszyła do ataku. W krytycznych chwilach stan wody co sekundę wzrastał o 2.100 m sześć. Spienione masy metnej wody runęły na miasto. Ulice zamieniły się w rwące potoki, 10 tysięcy parkujących samochodów, spiętrzonych, zgniecionych, rozdartych w strzępy

stały się pastwą żywiołu, niszczyć, z kolei odlankami ostrej blachy i żelaza inne obiekty. Woda wdarła się do piwnic, załapała partery, rozbijała witryny sklepów, wyplukiwała z łatwością drzwi i futryny. Wartość jej szacowano na 60 km na godzinę. Rozdarte przez nią zbior niki mazutu, czarna, lepka plama rozlały się na powierzchni rwącego żywiołu. Po kilku sekundach łupen jego stała się chłuba średnio wiecznej architektury florentyńskiej, baptisterium. Jego kute odrzwia nazwane przez Michała Anioła „wrotami do raju” zostały porwane przez odmet, a zabijające płaskorzeźby Ghiberti’ego — uni kat średniowiecznego kunsztu szwajcarskiego wypłukane. Fale wdarły się do wnętrza najwspanialszych świątyń. Szczególnie ucierpiał kościół świętego krzyża (Santa Croce), skarbnica arcydzieł sztuki i pantheon narodowy. Bezcenne freski, posadzki, grobowce największych synów Toskanii stały się pastwą żywiołu. W tym też kościele symbolizującym ogrom zniszczenia i wielkość solidarnego wysiłku przy ratowaniu zabytków i skarbow sztuki, papież Paweł VI w noc wylęgła odprawił pasterkę wobec tysiecy wzruszonych, rozekanych tłumów.

Opadające wody pozostawiły 50-centymetrową warstwę błota i mułu, która oblepiła florenckie mury, ulice, bezcenne pomniki, fontanny i ludzkie pomieszczenia. W mieście nie było światła, wody, gazu. Brakło żywności, rosła groźba epidemii. Równocześnie rozpoczęła się uparta walka o wskrzeszenie miasta.

Do Florencji przyjechałam nad ranem po nieskończenie długiej 36-godzinnej podróży. Pierwsze wrażenie, to nowoczesność dworca i widniejący tuż za nim monumentalny zarys romańsko-gotyckiej bazyliki Santa Maria Novella. Nie stety, ulewny deszcz odciał mi drogę do miasta. Przekonałam się, że to mogłam, ile wygód czeka podróżnego już na dworcu. Miekkie, rozłożyste fotele pozwalały na niezłą drzemkę w zacisznej poczekalni. W barze ciepłe lub zimne napoje, wybór sandwichy, a przede wszystkim niesłychana barwa lśniących etykietek pociąga i kuszą turystę.

Do restauracji bezpiecznie nie zaglądać, ceny zawrotne! Można się też umyć, wykąpać, uczesać u fryzjera, można zająć na modlitwo do kaplicy dworcowej, po czym naciścić oko i umysł pismami we wszystkich językach europejskich. Wreszcie doskonale biuro turystyczne udziela wszelkich informacji i pośredniczy w wynajęciu pokoju, uwzględniając skalę możliwości płatniczych podróżnego. Mnie przypadł pokój na poddaszu w ciastym, uroczym zaułku starego miasta. Przed małym okienkiem pechnała dostojna, barokowa kopuła kaplicy Medyceuszów, dzieło Brunelleschego. Wieczorem niebo nad kopułą przybierało kolor granatowy, potem zarys jej zlewał się z ciemnością nocy. Tylko przez otwarte okno (niebezpiecznie, komary!) z pobliskiej bazyliki św. Wawrzyńca wlewał miarowy dźwięk dzwonów. Wtórwały dzwony innych kościołów i bicie zegarów miejskich. I tak co pół godziny cisze florenckiej nocy przezywała ta urzekająca muzyka taka sama zapewne jak w czasach Michała Anioła.

W ciągu dnia dzwonów nie słychać. Przez ulice i place przetacza się bowiem tysiące samochodów, autokarów, rzempolących wozików

i skuterów. Krzyczą handlarze uliczni, zachęcając do degustacji sprzedawcy lodów, owoców, pestek, gorącego bobu czy fistaszków. Wśród nich grupy turystów, gestykulujące i wykrzykujące manifestując swe pierwsze wrażenia zetknięcia się z tym fascynującym miastem.

Turystów więcej niż w innych latach. Prócz wszystkich uroków 400-tysięcznej stolicy Toskanii reklamowanych w przewodnikach turystycznych przybyszy pociągają do tego miasta ostatnia jego tragedia. Jak wygląda Florencja po potopie, jak wygląda miasto, które zaledwie kilka miesięcy temu przeżyło największy kataklizm swych tysiąclećnych dzieł? I ja zadaje sobie to pytanie z pewnym niepokojem porażając się po raz pierwszy w gwarze florenckiej ulicy. O dziwo, place i arterie śródmieścia stanowiące główny szlak odwiedzających radośnym życiem, sklepy lśnią świeżością, zachęcają śliczną ekspozycją i bogactwem towarów. W warsztatach rzemieślniczych nawet w tych zainstalowanych w piwnicach ruch nieustannie. Rzeka Arno, wieśnięta w obmurowane koryto wygląda niewinnie, jakby skurczona na a może i skruszona. Nad nią tuki mostów. Wśród nich charaktery-

Zwykła historia

Wojna wikała losy ludzkie, tworzyła sytuacje, w jakich nikt nie spodziewał się znaleźć, zmuszała do podejmowania decyzji, które nie zawsze mieściły się w normach „pokojowej” moralności, zadzierzgała tajemnice, z których wiele pozostało do dziś nie wyjaśnionych. Na wojnie zdarzały się też sytuacje zwyczajne, pospolite w tamtych nieodczuwalnych warunkach. Coś takiego zdarzyło się starszemu sierżantowi Sergiuszowi Jakowlewowi. Tylko, że w jego najzwyczajniejszej historii jest jednocześnie coś niezwykłego.

* * *

Dni stawały się dłuższe, ale dla nich nie miało to większego znaczenia. Posuwali się naprzód w bezustannym chrzączeniu gąsienic, mijali palace się wraki samochodów, rozbite domy i porzucone armaty, mijali ludzi o wynędzniałych twarzach, którzy witali ich z prawdziwą radością. Byli dla nich sama wolność. Szli stale naprzód. Stale na zachód. Oni — żołnierze I Frontu Ukraińskiego, 3 Gwardyjskiej Armii Pancernej, w skład której wchodziła też 69 Zmotoryzowana Brygada.

Czołg starszego sierżanta Sergiusza Timofiejewicza Jakowlewa znajdował się w owe styczniowe dni 1945 roku na czele zwycięskiego pochodu. Był częścią pancernego zwiadu. Tak było też i 30 stycznia 1945 roku, kiedy to grupa czołgów dowodzona przez Jakowlewa obchodziła Wrocław od południa, w odległości 30 km od granic miasta. Sierżant rozsiadł się wygodnie na panczeru i stąd wydawał polecenia kierowcy. Za jego czołgiem podążały posłusznie inne maszyny.

Rozkaz był prosty. Ustalić aktualne pozycje Niemców. Jakowlew nie wiedział, że w trakcie wykonywania rozkazu zaszły zmiany. Główne siły brygady zmieniły kierunek natarcia. Zwiad starszego sierżanta Jakowlewa szedł dalej według pierwotnie wytyczonej marszruty. Rosła odległość między nim a resztą sił 69 Zmotoryzowanej Brygady.

Zwiad zbliżył się do wsi Bukowina. Było to akurat 30 km na południe od Wrocławia. Przed nimi droga schodziła w jar. Dzień był ciepły i spokojny. Wkoło panowała cisza. Nigdzie śladu Niemców. Widać oderwali się na dobre od wojsk radzieckich i dalej uciekali na zachód. Spokojnie wjechali do jaru. Byli już w jego środku, gdy wybuchło piekło.

* * *

Wojna się skończyła. Każdy wiosenny dzień przynosił nowe listy od żołnierzy, którzy wyruszyli z miasta szeroko rozłożonego nad rosyjską rzeką Uwodzi i zawędrowali daleko nad Szprewą, Łabę, Nysę i inne rzeki środkowej i południowej Europy. Nie do wszystkich dochodziły listy. Niekiedy czekały daremnie. Wśród nich była również Ksenia Michajłowna Jakowlewa.

Listonosz zapukał do jej drzwi dopiero pod koniec maja 1945 roku. Przyniósł jednak nie list, a pismo urzędowe. Wojskowy komendant miasta Iwanowa — Galkin zawiadomił, że:

„Syn Wasz, Sergiusz Timofiejewicz Jakowlew, starszy sierżant, wierny wojskowej przysiędze, w walce za

socjalistyczną ojczyznę, przejawiający bohaterstwo i męstwo zginął 30 stycznia 1945 roku. Pochowano go z należnymi wojskowymi honorami we wsi Bukowina”.

Ksenia Michajłowna Jakowlewa nie wiedziała, gdzie leży Bukowina. Nie to było ważne. Najstraszniejsze było to, że jej syn Sergiej nigdy już nie stanie przed nią, że nigdy już nie będzie czekała na jego powrót z pracy, nie będzie słuchała o jego kłopotach i radościach, nie będzie synowej, wnuczki. Nie myślała wtedy, że „należyte wojskowe honory” to drewniany, czerwony stożek z piecioramienną gwiazdą postawiony na wspólnym grobie i salwa towarzyszy broni. Nie myślała, że na pierwszy rzutek zaobnej listy umieszczono nazwisko starszego sierżanta Sergiusza Timofiejewicza Jakowlewa.

Nad Uwodzią i nad Łódką od lat rozwijał się przemysł włókienniczy, rosła klasa robotnicza, narastał ruch robotniczy. Tak nawiązała się współpraca Łodzi i Iwanowa — dawniej zwanego Iwanowo Wozniesińskie. Jej początek sięga czasów, kiedy robotnicy przystąpili do walki o swoje prawa. Jednak dopiero po wojnie powstały warunki dla umocnienia i wszechstronnego rozwijania tradycyjnej już współpracy.

Rozwój współpracy powodował wzajemne wizyty, poznawanie doświadczeń, kontakty między ludźmi. Zwiedzając swego czasu zabytki, zakłady przemysłowe, uczelnie i instytucje Iwanowa trafił na ul. Radiszczewa, daleko położoną od centrum miasta, gdzie na pseudoklasycznym frontonie dwupiętrowego domu widniał napis: Iwanowskie Protezo-Ortopedyczne Przedsiębiorstwo. Przedmiotem zainteresowania były eksperymenty z bioprotezami. Tutaj iwanowscy lekarze z powodzeniem stosowali konstrukcyjne osiągnięcia leningradzkich inżynierów, którzy w oparciu o wyniki badań moskiewskich uczonych, stworzyli protezę poruszającą myślą człowieka.

Mózg za pośrednictwem prądów elektrycznych przekazuje mięśniom rozkazy. Wysyła je nawet wtedy, gdy na skutek wypadku trzeba odciąć rękę lub nogę. Uczni zbadał przebieg bioprotez i stwierdzili, że można je przejąć, wzmocnić i przekazać miniaturowej maszynie, która zastąpi rękę. Z ul. Radiszczewa w Iwanowie wracali do domu i do pracy ludzie, którym przywrócono możliwość postępowania się „ruchomą ręką”.

Pracą iwanowskich lekarzy interesowano się szeroko. Często gościem był tu miejscowy korespondent TASS — Sergiusz Timofiejewicz Jakowlew. Ktoś pokazywał mi go i przedstawiając opowiadał jego zwykłą historię. Dalszy ciąg usłyszałem już od niego samego.

* * *

Po zwiadzie starszego sierżanta Sergiusza Jakowlewa pozostały spalone wraki czołgów i prochy żołdgi. Nikt nie liczył kości. Zebrano prochy, pochowano je w Bukowinie. Oddano honorową salwę, a na desce kamiennym ołowkiem wypisano nazwiska poległych. Na pierwszym miejscu widniało nazwisko starszego sierżanta S. T. Jakowlewa.

Jakowlew w tym czasie leżał w niemieckim szpitalu, położonym na granicy Austrii i Szwajcarii. Zna-

laz się tam razem z wieloma rannymi żołnierzami polskimi. Nieprzytomnego, leżącego przy drodze we krwi i śniegu — z pancerną czołgu zmiotła go seria niemieckiego kaemu — wzięto go za Polaka. Miał przestrelone płuca, połamane żebra, stracił wiele krwi. Przytomność odzyskał 16 lutego 1945 roku.

Wkrótce do szpitala zawitała komisja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Byli to już inne czasy. Niemcy nie mieli kiedy dobijać rannych nieprzyjaciół, bali się. Pozwolili komisji zabrać ciężkie rannych Polaków. Wśród nich znalazł się sierżant Jakowlew. Na obczyźnie, w neutralnej Szwajcarii doczekał się zakończenia wojny.

W czerwcu 1945 roku do szwajcarskiego szpitala przyjechała radziecka komisja wojskowa. Szukano żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej. W ten sposób po wielu perypetiach — czekano m. in., aż jego stan zdrowia pozwoli na transport samolotem sanitarnym — starszy sierżant Jakowlew znalazł się w szpitalu wojskowym we Lwowie. Potem była Moskwa i wreszcie

okres rekonwalescencji w rodzinnym Iwanowie.

W tym czasie w mieście nie było Kseni Michajłownej. Pojechała na wieś do rodziny. Czekala na starożę, który zaginął gdzieś w pierwszych dniach wojny i którego losu nie zamknęło żadne urzędowe pismo. Jakież było jej zdziwienie, kiedy zamiast starszego, stanął przed nią młodszy — oplakany i gdzieś w dalekiej Polsce pochowany Siergiej. Był blady, wymierzony, ze świeżymi bliznami na piersiach i plecach, ale żywy. Żywy wbrew temu, co komunikowało pismo noszące zamasyjny podpis Galkina.

* * *

Powrót do życia nie był łatwy. Trzeba było jak najszybciej zapomnieć o wojennych przypadkach i przystąpić do pracy. Podjął ją na początku w „Mielanowskim Kombinate” — wielkim przedsiębiorstwie przemysłu bawełnianego wzniesionym w Iwanowie w latach pierwszej pięćdziesiątki. W 1948 roku Jakowlew zaczął w kombinacie re-

dagować wielonakładową gazetkę zakładową — „Mielanysti”. Potem przyszedł awans do zespołu gazetki młodzieżowej — „Leniniec”, a w 1950 roku zaczął zaoferować studia na wydziale dziennikarskim Uniwersytetu Moskiewskiego. Studia zakończył w 1956 roku. Przeszedł następnie do zespołu wojewódzkiej gazety partyjnej — „Raboczyj Kraj”, a jeszcze później został przedstawicielem TASS na miasto i województwo iwanowskie.

* * *

Takie są dzieje człowieka, którego grób do dziś znajduje się w Bukowinie koło Wrocławia i którego pamięć czczą młodzież składając z okazji świąt i rocznic wianki kwiatów na wspólnej mogile upamiętnionej obeliskiem. Jest to zwykła historia, jeśli rzeczą zwykłą jest śmierć na wojnie, ale jednocześnie niezwykła, bo tylko nielicznym udało się powstać z martwych i na nowo rozpocząć życie. Takie szczęście miał starszy sierżant S. T. Jakowlew, obecnie korespondent TASS w Iwanowie.



Żołnierski pogrzb

Foto: T. Gouta (CSR)

styczna obudowa wyróżnia się jak ongiś Ponte Vecchio. On jeden choć najstarszy wytrzymał napór wód, ale wzburzona fala zmiotła galerię sklepów ciągnące się po obu jego stronach. Galerie odbudowane, rażą nieco swoją świeżością. Miejscami jeszcze stoją rusztowania i trwają prace renowacyjne. Od mostu idąc na plac Siniorii, gdzie wody sięgały 4,92 m. Plac roi się od turystów, powrócili tu znów chmary gołębi. Kosma Medyceusz jak dawniej ze spiczowego konia patrolował swe miasto. Znużony walką Dawid (kopia Michała Anioła) niedbałym ruchem opiera na ramieniu swą procę, zaś rozszalałe rumaki fontanny Neptuna starannie oczyszczono kąpią się nadal w kaskadach wody i promieniach słońca.

Plac Siniorii to serce Florencji, a że blisko stąd do rzeki, dzieło zniszczenia było tu największe, ale i najdokładniej zatarte już dzisiaj jego znamie. Najbogatsza po Watykanie skarbnica malarstwa renesansowego, słynna galeria Uffizi otwarta niedawno ponownie dla publiczności daje tyle wrażeń i taką gamę wrażeń artystycznych, iż zapomina się tutaj o stratach, które poniosła. Galeria mieści się na drugim piętrze. Nie dotarli tu wzu-

brane wody Arna, ale niższe kondygnacje budynku, biura i pracownice konserwatorskie zostały zdemolowane. Czasowa ekspozycja obrazu jest zarówno bezpowrotnie stracone obiekty (m. in. Ukrzyżowanie — Cimabuego), jak i trud renowacji uszkodzonych zbiorów. Mniejsze straty poniosła położona na wyższym brzegu rzeki kolekcja dzieł sztuki w pałacu Pittici.

Marmurowe arcydzieła dłuta Michała Anioła, wiernego syna Florencji, wyszły również obronną ręką z potopu. W kaplicy Medyceusz kontemplować można wymowne, monumentalne nagrobki: Juliusza Medici, u stóp którego rozłożyły się dwie alegoryczne postacie symbolizujące Dzień i Noc, oraz zadumany Wawrzyńca II w otoczeniu Jutrzenki i Mroku. Tutaj też znajduje się nieskończona, ale jakże zachwycająca wdziękiem i ruchem Madonna z dzieckiem. Perłą dostępną znów dla publiczności Akademii Sztuk Pięknych jest nadal posąg Dawida, a w Duomo zwanym właściwie kościołem Santa Maria del Fiori tłumy gromadzą się przed rzeźbą grupową, zdjęciem z krzyża wykonaną ręką starzejącego się już mistrza.

Na placu katedralnym wspaniały

kompleks architektoniczny duomo, kampanilla i baptisterium mieni się nadal okładzinami z kolorowego marmuru tokańskiego, nasyconego słonecznymi promieniami. Mimo wszystko jednak na tych elewacjach odcina się wyraźnym, brudnym, pociemniałym oasmem miejsce dokąd dotarli mętne fale. I znów tłumy przysiadają przy „wrotach do raju”, brak w nich jednak dwa rzeźbionych płyt, których woda już nie zwróciła. Na wielu domach widnieją wmurowane tabliczki z napisem: dotąd w dniu 4.XI. 1966 r., sięgnęły wody Arna. Zadzieram głowę, by odczytać tabliczkę.

Chodząc po wypolerowanych, czyszczonych ulicach, zaglądając do wesółych sklepów, barów i kawiarenek, patrząc na pogodną twarz pracowitych mieszkańców Florencji, myślę o tym olbrzymim wysiłku, poświęceniu i wytrwałości, które wykazały w tak szybkiej odbudowie i renowacji swego miasta. Ratowali swoje mienie, domostwa i warsztaty pracy, w długich ciepłych kolejkach oczekiwali na racje wody i żywności. Ale florentyńczycy i ich energiczny burmistrz Bargellini (autor pięknej monografii, La Splendida storia di

Firenze, t. I—III Florencia 1964), ratowali przede wszystkim mienie wspólne, to co było chlubą i dorobkiem tysiącletnich dzieł miasta i skarbnicą kultury ogólnoludzkiej.

Ciężkie straty poniosły również archiwa i biblioteki. Uszkodzonych zostało 50 tysięcy jednostek archiwalnych. W położonej w pobliżu kościoła Santa Croce Bibliotece Narodowej 40 sal w suterrenach i cały parter zostały całkowicie zalane. Woda zmiotła regały, porwała i wgniotła w błoto bezcenne księgi i rękopisy. Młodzież studencka i setki ludzi dobrej woli ochotniczo stanęły do walki o ocalenie tych zagrożeń zbiorów. Z gęstego mułu i leokiego mazutu wydobywano poszarpane folioty cennych inkunabułów i unikalnych manuskryptów. Wyrwane z obrzydliwej mazi księgi wędrowały z rak do rak ustawionych szpalarem, ubabranych w błocie ludzi. Ładowano je na samochody i wywożono do różnych miast, gdzie poddawane były natychmiast zabiegom osuszającym i renowacyjnym. Tysiącom cierpliwych godzin pracy i benedyktynskiemu wprost trudowi zawdzięczają one swe ocalenie. Tak więc obok dzieł architektury, malarstwa i rzeźby, obok zabytków rzemieślniczego

kunsztu udało się również uchronić od zagłady olbrzymią część zbiorów archiwalnych i bibliotecznych.

Dzieło zniszczenia dokonane przez kapryśną rzekę nie zostało jednak mimo szalonego wysiłku i pomocy finansowej państwa ostatecznie zażegnane. Większość wspaniałych pałaców nie otworzyła jeszcze zwiędzającym swych podwoi. Wystarczy też zajrzeć do bocznych uliczek, by dostrzec opuszczone, ziejące wilgocią domy, zaatakowane nieuleczalną chorobą grzyba, to znów podparte prowizorycznie, grożące zawaleniem mury; tragicznie ofiary szturmujących fal. Tysiące ludzi opuścić musiało bezpowrotnie swe domowe ogniska, zaczynać wszędzie od nowa.

O tym jednak zapomina turysta, który chłonie piękno i urok tętniącej życiem, pulsującej energią, oszałamiającej wspaniałością i bogactwem swych zabytków — Florencji.

Wyjeżdżam stąd z żalem. Pożegnanie z miastem przeżywa się podobnie jak rozstanie z przyjaciółmi. W uszach dźwięczą mi dwa wyrazy popularnego określenia — wybijane stukotem kół pociągu: „Firenze la bella”.

Pan Mieczysław

Ileż to jestem w Jeleniej Górze, a przytrafia mi się to co najmniej raz w roku, pierwsze kroki kieruję do antykwariatu pana Mieczysława Kuncewicza. Od dwudziestu lat krąży się on niezmiennie w niewielkim pomieszczeniu, zawalonym od podłogi do sufitu książkami. Sprawdza się do Jeleniej Góry zaraz po wojnie i był jednym z pierwszych księgarzy w tym mieście. Jego antykwariat, mieszczący się przy głównej ulicy, w tym samym lokalu, stał się dla mnie symbolem trwałości i stabilizacji życia. Tyle rzeczy zmieniło się po wojnie, tylu wyjechało stąd ludzi, tylu zmarło, a antykwariat pana Mieczysława trwa i wydaje się, że trwać będzie wiecznie. Szeszdziesiąt lat pracy w księgarstwie nauczyło go nieufności, wobec ludzi. Najbardziej kulturalny, najbardziej światły człowiek nie zasługuje na to, by mu wierzyć. Uczeń dzieła ludzkości na dwie albo i na trzy podstawowe grupy. A ja pana mówię, że to nieprawda. Jest tylko jedna wielka grupa: cała ludzkość, i ta kradnie książki. Nie wierzy mi pan? Proszę pana, ja wiem lepiej.

Ta bezapelacyjność jego twierdzenia wzbudziła we mnie potrzebę sprzeciwu. Wdałem się z panem Mieczysławem Kuncewiczem w dyskusję. Ale tak, mówiąc między nami, jako że nikt nas nie słyszy, edytem ja był z drugiej strony lada, też bym postępował podobnie. Nawet w świetle religijnej katolickiej przywłaszczanie sobie cudzych książek nie jest poczytywane za grzech. Pan Mieczysław parsknął swoim cichym, chrapliwym śmiechem. Pamiętam, przed wojną w Wilnie, przylapano jakiegoś profesora na kradzieży książek w bibliotece uniwersyteckiej. Rektor podał go do sądu i odbył się proces. I co, myśli pan, że go ukarano? Nie, został uniewinniony. I słusznie. Ale ja to mówię tylko panu, bo pana znam i wiem, że pan tego nie pojmie opacznie. Gdy do sklepu przychodzi klient, wszystko jedno: młody czy stary, intelektualista czy robotnik, muszę mieć nie dwoje, ale kilkoro oczu. Trzeba patrzeć na wszystkie strony. I uważać, uważać. Jedną chwilą nieuwagi i flut, książeczka sprzątnięta spod nosa. A najwyżej kradną młodzi, uczniowie szkół, praktykanci. Ci mają sposoby. Rzadko kiedy przychodzi w pojedynkę, zazwyczaj gromadnie. Z początku to się w tych ich sposobach nie mierzowałem. Ale teraz już wiem: wchodzi do sklepu gromada, dwóch podejmuje do lada i zjada mi takie pytanie, żeby nie mógł odpowiedzieć, nie zającawszy wprawy do jednej lub drugiej półki. A w tym czasie, gdy ja się odwracam i szukam, ci inni już sobie tam coś zorganizowali. Oni tak mówią: zorganizować, to jest ich język, nie mój. Naturalnie wszystko to zostało obmyślane wcześniej, książka do dmuchnięcia już upatrzone (do dmuchnięcia — uważa pan), teraz przychodzi na głowę, szast-prast i po krzyku. Ciekawi pana, jak na to wpadłem? Bardzo prosto. Po jakimś czasie któryś z nich przychodził i sprzedawał mi ukradzioną książkę. Gdy odkrył ten nieuczynny proceder, książkę odebrałem, a winowajcę zmieszałem z błotem. Ale to

i wszystko. Nie skarżyłem w milicji, w ogóle — nigdzie. Pan Mieczysław monologował, a ja myślałem: przecież on kiedyś umrze. Nie to niemożliwe. Nie mogę sobie tego wyobrazić, że go nagle pewnego dnia zabraknie. Co będzie, gdy go już nie będzie? Tacy ludzie nie mogą, nie powinni umierać. Tego antykwariatu nikt po nim nie odziedziczy, nikt nie przejmie, ten antykwariat przestanie istnieć, a wraz z nim odejdzie jakaś część mojego świata. Gdzie skieruje swoje kroki, gdy tu przyjadę? Do małego, ciemnego i ciemnego pokoju pana Mieczysława, nie przychodząc ze zwykłej ciekawości czy tylko z nawyku. Oczywiście, za każdym razem byłbym ciekaw, czy znajdzie coś cennego, albo co on sam mi zaoferuje. Ale w tych odwiedzinach kryło się coś więcej, coś ponadto. Pan Mieczysław utwierdzał we mnie przekonanie, że życie trwa, że tu, w tym punkcie, zatrzymało się ono na długo, gdyby się nie bał patosu, powiedziałbym, że na zawsze. Jechałem z lekkiem w sercu, czy go jeszcze zastane. A jednocześnie trudno mi było sobie wyobrazić, że może go nie zastać. On i tego sklepu ze starymi książkami: to był niezbędny akcent w kompozycji miasta.

Przyglądał mi się zza okularów, mrużył oczy i mówił: „A, to pan. Wciąż pan o mnie pamięta?” Bo tu, do mnie, prosił pana. Przyjeżdżają nie tylko z Polski. Z Warszawy, Łodzi, czy Wrocławia. Zachodzą ludzie zagranicą. Latem, gdy sezon turystyczny w pełni i cudzoziemcy zawadzają o te strony, niejednemu wstąpi i zabawi gozino, a nieraz i dłużej. I każdy coś dla siebie znajdzie. O, niedawno na ten przykład, by tu pewien ksiądz z Francji, Szeerał, zbierał, aż znalazł: gruby tom aforyzmów i listów Lichtenberga. Piękna książka, oprawa w ciemnoniebieskiej płótno, złoty napis na grzbiecie, egzemplarz jak nowy, choć wydany przed półwiekiem. Pomyslałem sobie: panu by się ta książka przydała, pan lubi takie rzeczy. Bardzo zażądałem, że jakiś ksiądz sprzątnął mi Lichtenberga i że zapewne było to wydanie, którego od dawna poszukiwałem. U pana Mieczysława Kuncewicza spędzałem długie godziny, nieraz dzień cały. Pozwalał mi grzebać, choć bez wątpienia i mnie nie ufał. Szedłem od półki do półki, wymawiałem poszczególne tomy, kartkowałem, kurz leżał mi nozdrza, kichałem i kasałem, ręce miałem brudne, ale nie mogłem przerwać szukania. Zawsze mi się zdawało, że gdybym przerwał lub zaniechał poszukiwań, nie natrafiłbym na ową bezcenną rzecz, która znajdowała się właśnie gdzieś na końcu, w ostatniej reszcie przytulonych do ściany książek. Zdarzało się, że nie znalazł, ale odchodziłem bez żalu, uspokojony, że niczego nie zaniedbałem. Nie będę mógł robić sobie wyrzutów, że zabrałem mi cierpliwość lub, że sprzeniewierzyłem się swoim zamiłowaniom. Kiedy ja tu, prosił pana, przyjechałem w czterdziestym piątym roku, książki leżały na ulicy. No, może nie tak dosłownie, ale prawie. Mój pierwszy zbiór pochodził z fabryki papieru. Niedaleko stąd, w Jeżowie, jest taka fabryka. Zwożono do niej książki z okolicy na przemiał. Pan wie, zaraz po wojnie ludzie nienawidzili wszystkich, co niemieckie. Jak się znalazłem w Jeżowie, to omleiał z wrażeń. Przede mną stała wielka góra, można powiedzieć — Giewont książek. Pewnie, było tam sporo hitlerowskiego śmiecia, ale były też rzeczy wartościowe, takie, co ważne były kiedyś, ważne są dziś i ważne będą jutro. Już nie

mówię, że znalazł się tam cały Goethe, Schiller czy Heine. Znajdowały się również książki w języku francuskim i angielskim, ba! nawet polskie się trafiały i to wcale nierzadko. O tych polskich to ja jeszcze panu powiem, ale na razie o tym gromadzeniu i przewożeniu książek do mojego antykwariatu. Wystarałem się u władz o zezwolenie i z papierkiem w kieszeni szedłem dzień w dzień piechota do Jeżowa. Komunikacji żadnej nie było, a zresztą Jeżów blisko, pora letnia, pogoda piękna. To i szło się z ochotą. Grzebałem jak kret w tych stertach papieru, przekopywałem się w lewo i w prawo, żeby — broń Boże — niczego nie przegapić.

On opowiadał, a ja myślałem: człowiek, oświecony taka pasja, dobywa z siebie sił, których sam nie jest świadom. Pan Mieczysław Kuncewicz jest człowiekiem małego wzrostu, kruchej kompleksji, jak dawniej mówiono, szczupły, całkiem niepozorny. Widziałem go, jak się modlił z tym Giewontem książek, jak z okularami na nosie odczytuje tytuły, zagląda do środka, jak zaciera ręce, gdy odkryje rzecz wartościową i w dobrym stanie. Mały człowieczek wśród takiej góry książek, to musiało być zabawne. Wyobrażam sobie, jakie zdziwienie budził wśród osadników. Może go nawet podejrzewali, że skarbów ukrytych szuka. Wtedy wszyscy szukali skarbów. Ludźmi owładnęła gorączka szukania. Kopalni w polu, w ogrodzie, zrywali w zbach podłogi. Jak się zdarzyło, że ten i ów coś znalazł, mogło to być nawet rzecz drobna, rozpoznał wyobraźnię drugich, zarażał ich swoją gorączką, podniecał do upartej, chorobliwej krzataniny w domu i zagrodzie. Za chwilę jednak obraz tego małego człowieczka wśród zwalów książek wydal mi się wielce rozpoznać. Odczułem nagle, że było w tym coś z tragedii, a może nawet — tragifarsy. Człowieczek zgubiony wśród książek, przywalony nimi, nie mogący się spod nich wydostać. Już widziałem jakiś dramatyczny tytuł w gazecie: człowiek utonął w rzecze papierzyk, sześci, zniknął, nie ma go na świecie. Ale u pana Mieczysława choć małe ciało, duch oporny, a energia psychiczna wzrost nie do zdarcia. Co cenniejsze piony dnia brał z sobą do plecaka lub teczek, a reszcie zostawiał u chłopca-osadnika zza Bugu.

Upatrzyłem go sobie, zresztą nie było w czym wybierać. Zrobił na mnie korzystne wrażenie. Wie pan, jak to się mówi: dobrze mu z oczu patrzyło. No i miał konia, co w tym przypadku było rozstrzygające. Raz w tygodniu, powiedzmy w sobotę, przywoził wybrane przeze mnie książki do Jeleniej Góry. Naturalnie odpalałem mu coś za to. Zauważył pan, jak ja mówię, odpalałem mu. Życie, prosił pana, życie. Przez niedziele i poniedziałki porządkowałem moje znaleziska, układałem na półkach a potem wybierałem się znowu na łowy. To był, prosił pana, najpiękniejszy czas w moim życiu. Ile uratowałem różnych ważnych rzeczy, które potem poszły do bibliotek i do rąk prywatnych. Dbałem, by moje książki dostawały się w dobre ręce. Złaził mi się w mnie uczeni profesorowie, literaci, dziennikarze. Bywali i mianicy bez grosza przy duszy, zwirowani zbieracze jakichś osobliwości, na przykład: wszystko o szachach, albo wszystko o okultyzmie. Mianik to osobnik niebezpieczny, ale mianik książkowy to bardzo pożyteczne bydle. Należałoby ich raczej chronić, zakładać dla nich rezerwy jak dla żubrów. Aha, miałem o tych książkach w polskim języku. Niech pan sobie przed-

stawi, że znajdowałem i takie. Były tam rzeczy rozmaite: kalendarz, wydany w Olsztynie, drukowany szwabachą, ale słowa i treść polskie. Drżały mi ręce, gdy taki kalendarz przeglądałem. Albo elementarz, ogłoszony na Śląsku. A w jednej kuce książek odnalazłem podręcznik do dziejów ojezytstych, nie wiem, gdzie wydany, bo bez okładki i strony tytułowej. Dziwnie jakoś, gdy książka nie ma okładki. Jakby człowiek nie miał ubrania. Można powiedzieć: książka naga. Jeśli bym ja znalazł zima, bałbym się, że zmarznie, że drży na śniegu i mrozie.

Słuchając pana Mieczysława, zdałem sobie nagłe sprawę, jak bardzo mi żal, że mnie wtedy nie było w Jeleniej Górze. Że nie widziałem tych stert książek, że nie mogłem w nich buszować, jak w lesie razem z nim. Byłbym dzisiaj bogatszy nie tylko w książki, ale także w przeżycia, które się nie powtórzą. Od dawna, bodaj od dzieciństwa, mam kult słowa drukowanego. Książka otwierała mi światy, do których nie miałem nigdy dostępu. Kalendarz z szuflady dziadkowej i grube kanczyki, które dostałem od niego w prezencie, wydawały mi się przez wiele lat najwarteściowszymi zbiorami. Przyszła wojna i utraciłem je. I dziś znowu wydają mi się bezcenne, bo ich nie mam i już nie odzyskam. Szukam tego kalendarza i tych kanczyków we wszystkich antykwariatach. Szukałem ich także u pana Mieczysława. Bezskutecznie. Są takie książki, które gdy raz zginą, już się nie odnajdą. Aż mi dziwno, że może zginąć coś, co było kiedyś drukowane, co posiadał człowiek, z czego się modlił lub śpiewał koledy. Nigdy nie zapomnę tej ludowej koledy z dziadkowych kanczyków, która zawierała między innymi następującą strofę:

Oj, widziałeś ty Banku, co za dzieło było,
Ze się o północy niebo otworzyło.

Ja z przestrachu aż spod dachu upadłem
na ziemię.

Stukłem sobie mocno kuper i nogę w kolanie.

Śpiewałem tę koledę i śmiałem się i dziwiłem, że takie rzeczy można napisać, a potem wydrukować. Odczuwałem te koledy jako zabawna i nieprzewidywalna, ogarniała mnie uciecha, ale i wstyd zarazem. Gdy ktoś w mojej obecności ją zaśpiewał, opowiedziałem o tym panu Mieczysławowi i zacytowałem zapamiętaną strofę. Proszę pana, czego to ludzie nie wymyślą, i czego nie napiszą. Kiedyś spisywano to, co działo się w życiu, a teraz to już się całkiem nie patrzy na życie, tylko wymyśla coś, czego nie ma. Ale czy można wymyślić coś czego nigdy nie było, tak całkiem z głowy? Gdy pan Mieczysław postawił to pytanie, zacząłem się zastanawiać, czy on, Mieczysław Kuncewicz, istniał naprawdę. Może mi ktoś o nim opowiadał, a może mi się tylko śniło. A może nikt mi nie opowiadał i snu żadnego nie miałem, lecz którejś bezsennej nocy, patrząc w odsłonięte okno, ujrzałem go nagle za ladą małego zakurzonego antykwariatu. Muszę kiedyś, najpóźniej latem, gdy będzie ciepło, pojechać do Jeleniej Góry, by sprawdzić, czy na głównej ulicy w tym miasteczku znajduje się sklep z książkami, a w tym sklepie pan w okularach, mocno już posunuty w leciech, narzekający na ból w krzyżu i na podkradających książki praktykantów. Ale co będzie, jeśli sklepu tego nie odzyskam i nie odnajdę w nim starego Mieczysława Kuncewicza?

(Z tomu opowiadań pt. „Teraz i zawsze”, który ukaze się w przyszłym roku).

ŻŁE czy DOBRZE?

Dyskusja o spektaklach szkolnych

Akcja rozpowszechniania abonamentów teatralnych przeznaczonych dla młodzieży szkolnej ma już w Łodzi kilkuletnią tradycję.

Wokół tej sprawy nagromadziło się wiele opinii i sądów często sprzecznych, często krytycznie oceniających jej przebieg. Oceniając problem jako bardzo istotny zarówno dla życia szkoły, jak i pracy teatru, redakcja nasza zaprosiła do rozmowy przedstawicieli obu stron. W dyskusji naszej pragniemy uporządkować pewne zagadnienia, poddać je analizie i ocenie. W rozmowie udział wzięli: przedstawicielka Teatru im. Jaracza i Towarzystwa Miłośników Teatru — K. Bobrowska, wizytator zajęć pozalekcyjnych K.O.S. — J. Kozłowski, kierownik Biura Organizacji Szkolnych Abonamentów — M. Kwinkowski, przedstawicielka Okręgowego Ośrodka Metodycznego — E. Udalska i aktorka Teatru Nowego — Z. Dziedzzyńska. Przedstawiamy fragmenty dyskusji:

P. KWINKOWSKI: Rok szkolny 1967/68 jest szóstym sezonem akcji szkolnych abonamentów teatralnych, prowadzonej dzięki inicjatywie Kuratorium Okręgu Szkolnego, Wydziału Kultury i Teatrów łódzkich. Akcja ta ma na celu podniesienie poziomu kultury teatralnej wśród naszej młodzieży, związanie jej z łódzkim ośrodkiem teatralnym oraz uzupełnienie i pogłębienie obowiązującej wiedzy polonistycznej uczniów.

Zasięg tej akcji scharakteryzować

może liczba 43.000 abonamentów przewidzianych na rok bieżący. Jeśli wziąć pod uwagę możliwość teatrów łódzkich, jest to w tej chwili liczba maksymalna, gdyż popołudniowe spektakle szkolne stanowią 25 proc. planu, 330 spektakli rocznie obowiązujących jedną scenę. W minionym roku szkolnym w akcji abonamentowej brały udział 124 szkoły z terenu Łodzi i 38 szkół z terenu województwa. Podanie tych cyfr wydaje mi się o tyle istotne, że pod względem orga-

nizacyjnym, a więc pod względem ilości statystyczne dane przekonują nas o tym, że w zasadzie niewiele już można w tej dziedzinie ulepszyć. Ilościowo sięgamy już szczytów.

Dodać również muszę, opierając się na doświadczeniach Teatru Powstalców, że w spektaklach wieczorowych, nie obejmujących akcji abonentowej, uczestniczy zawsze średnio około 40 proc. młodzieży. Bilety do teatrów rozprowadza się bowiem w szkołach również poza tą akcją.

ODGŁOSY: Niepokoi tu jednak stosunkowo mały udział w akcji abonamentowej młodzieży z terenów województwa.

Zastanawia również dobór repertuaru, który w roku bieżącym legitymuje się następującymi pozycjami: „Mój biedny Marik”, „Tkacz” Hauptmanna, „Damy i Huzary”, „Klub kawalerów”, „Halka” lub „Straszny dwór”. Nawet bardzo ogólna orientacja w programie szkoły średniej każe sądzić, że przedstawienia te nie zaspokajają jej potrzeb. Jakże funkcje światopoglądowe i kulturotwórcze pełni taki zestaw? Z jednej strony dość luźno pojęcie te łączą się z lekturą szkolną, z drugiej — współczesna dramaturgia jest tu prawie nieobecna. „Mój biedny Marik” jest sztuką właściwie marginesowa, „Klub kawalerów” wprowadzająca, jedynie „Tkacz” sa pozycja do pełnego wykorzystania (oczywiście, w pewnych tylko klasach). Wydaje się, że jeśli chodzi o dramaturgię współczesną, to impas generalny, a w szczególności: łódzkich teatrów, ujawnia się tu w szczególności ostry forma. Młodzież szuka tematyki współczesnej, adekwatnej do „jej własnego życia. Jej brak jest tu wyraźny. Sprawa wydaje się o tyle również istotna, że repertuar ten nie może stanowić rekompensaty braków, jakimi charakteryzuje się program języka polskiego w szkole średniej. Chodzi tu o reprezentowanie w tym programie problemów współczesności w ogóle, a

współczesności sztuki w szczególności, a więc i teatru.

Te wątpliwości nasuwają pytanie o procedurę ustalenia repertuarowych, o stopień partycypacji nauczycieli w tych decyzjach?

P. KOZŁOWSKI: Dobór repertuaru ma jak dotąd jeden ustalony przebieg — z tego co nam proponują teatry wybieramy to co najlepsze. Wyboru dokonuje kolektyw, w skład którego wchodzi dyrektorzy teatrów i ich kierownicy literaccy, przedstawiciele Wydziału Kultury, przedstawiciele nadzoru pedagogicznego i Ośrodka Metodycznego oraz kilku nauczycieli polonistów.

Obecnie podkreślamy konieczność innej procedury. Kolektyw pedagogów winien składać zapotrzebowanie na sztuki naprawdę szkolne potrzebne, uwzględniając i postulaty programu, i samej młodzieży. Te propozycje pragniemy przekazać Wydziałowi Kultury i teatru.

Podkreślić muszę, że dotychczasowy repertuar sztuk objętych akcją abonamentową nie znajduje aplauzu ani wśród nauczycieli, ani wśród młodzieży.

P. BOBROWSKA: Aby dotychczasowe opinie Państwa poprzeć konkretnym przykładem, pozwolę sobie przypomnieć historię wprowadzenia do ubiegłorocznego repertuaru „Namiestnika”. Obawiano się, że sztuka ta ze względu na swój charakter i bardzo trudną problematykę nie znajdzie w młodym widzu właściwego adresata. Zastanawialiśmy się nad tym dotąd, gdyby nie recenzje, którymi Ośrodek Metodyczny i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi dysponuje. Są to prace otrzymane w wyniku konkursu na recenzje uczniowskie na temat co sądzi o przedstawieniach abonamentowych. Najważniejsze, najciekawsze recenzje otrzymaliśmy właśnie z „Namiestnika”. Recenzje uczniowskie dowioda, iż znaczna część młodzieży ma wyrobione zdanie na temat tego co chce, jakie ma być przedstawienie i żąda jak największej ilości sztuk współcze-

snych. Wprowadzając „Namiestnika” nie unikniemy jednak pomyłki. Prezentowano go uczniom wszystkich klas szkoły średniej od VIII do XI. W tym roku tytułem próby, która jednak winna zmienić się w regułę, w repertuarze proponowanym przez Teatr Nowy mamy dwie propozycje: dla klas młodszych „Damy i huzary”, dla dwóch starszych „Tkacz”. Choć to pod względem organizacyjnym trudna sprawa, dalsze postępowanie winno iść w tym właśnie kierunku.

ODGŁOSY: Mimo tak dobrego przyjęcia przez młodzież „Namiestnika” czy wcześniej „Ostatniej stacji”, w bieżącym repertuarze sztuk naprawdę współczesnych znów nie ma.

P. UDALSKA: Współczesność dla młodzieży to również i forma, a więc i eksperyment teatralny. W tym roku takiej sztuki rzeczywiście nie ma.

P. ZDZIEŻYŃSKA: Współczesny repertuar dla młodzieży to tematyka współczesna, a nie formalne poszukiwania teatralne, to sprawy jeszcze do niej nie docierają.

P. KOZŁOWSKI: Pani podkreśliła bardzo istotną sprawę, bo zadaniem naszej akcji abonamentowo-teatralnej jest przygotowanie przeciwnego widza do odbioru sztuki. Percepcja sztuk eksperymentalnych, nowoczesnych, to już sprawa istotna tylko dla pewnej garstki młodzieży.

P. ZDZIEŻYŃSKA: Zagadnienie współczesnej dramaturgii to nie tylko sprawa teatru dla młodzieży. To problem ogólnopolski i nie tylko ogólnopolski, jak wiemy ze sztukami współczesnymi nie jest najlepiej. Mówimy tu o tym, że przedstawiamy młodzieży „starocie”. Ale przecież mieliśmy młodzież na Gol-donim — kapitalnie reagowali. Zagadnienie repertuaru dla młodzieży pozostaje w ścisłym związku z atmosferą przedstawienia teatralnego, w którym uczestniczy. Nie-wątpliwie odpowiedni dla wieku i

A black and white portrait of a middle-aged man with glasses, wearing a suit and tie. He is looking slightly to the right of the camera with a serious expression. His right hand is partially visible at the bottom left, holding a small object.

Różewicz, jak dotąd są to jeszcze próby. Z obcych najwyżej ocenę Geneta, choć go bardzo nie lubię.

We współczesnym świecie, wskutek rozwoju sztuki teatralnej i związanej z nią spe-

We współczesnym świecie, wskutek rozwoju sztuki teatralnej i związanej z nią spe-

cializacji czynności, nie ma w teatrze ludzi o formacie renesansowym. Trudno dziś o współczesnego Ajschylosa. W tej chwili "prawdziwi", „realistyczni” teatry, „teatr teatralny”, może być dziełem tylko dwóch ludzi: autora, poety teatru oraz reżysera, poety teatru. Poeta-reżyser ma prawo w źródle ze swoją wra-

rystyczne jest całkowicie zoli-
korystyzowane, niemal zupeł-
nie oderwane od konkretnych
potrzeb profesjonalnych, do
czterech latach studiów wy-
puszcza się ludzi niedosta-
tecznie przygotowanych do
wykonywania zawodu. Pod
tym względem naszych ucze-
niów od ich francuskich, ro-
syjskich czy niemieckich ko-
legów oddziela przepaść. Ła-
wo to zauważyć na scenie, w
praktyce. U nas jeżeli jest 25
miejsc w szkole, przymuje
się 25 słuchaczy, aby wypeł-
nić limit, chociaż z nich tyl-
ko 3—4 jest utaietowanych.
Gdyby było inaczej, to nie-
potrzebny byłby cały ten roz-
dęty rektorsko-profesorsko-
docentowski-asystencki apa-
rat. To śmieszna zgroza.
Szkołnictwu aktorskiemu po-
winno się przywrócić właści-
wy charakter.

S. KASZYŃSKI: Zdaje sobie sprawę, że to, o co teraz zapytam Pana, stanowi problem drażliwy, w większym stopniu dla nas łódzian, niż dla Pana. Łódź teatralna nie może do tej pory otrząsnąć się po stracie, jaką był wyjazd Pana, pewnie jeszcze długo nie wróci do równowagi. Czy wolno jeszcze zapy-

K. DEJMEK: Moja postawa i praca są całkowicie służebne wobec funkcji, jakie spełniać powinien Teatr Narodowy. W zakresie repertuaru muszę realizować to, co mamy najwartościowsze w narodowej dramaturgii. Wie Pan przecież, że nie znoszę naszego romantyzmu. W Teatrze Narodowym naszych romantyków wystawić nie tylko muszę, ale i powinienem.

Rozmawiał:
STANISŁAW KASZYŃSKI

— Trzeba rozpatrzyć możliwość pełnego upowszechnienia akcji abonamentowej.

— Należy wzmacniać opiekę samych nauczycieli i administracyjnego personelu teatralnego nad młodzieżą.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”

W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta, weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów” na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

	+	—
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię :

wiek :

zawód :

adres :

O sztuce myślenia i kabaretu

Stosunkowo niedawno publikowaliśmy na naszych łamach tekst dyskusyjny, jaka od była się w redakcji „Odgłosów”, dyskusji dotyczącej warunków i możliwości istnienia w Łodzi kabaretów literackich i artystycznych. Przy najmniej już od czasów krakowskiego „Zielonego Balonika”, wszem w Polsce wiadomo co też to takiego ów kabaret literacki i artystyczny. Nie mieliśmy wtedy ani cienia wątpliwości, co do jasności i oczywistości używanych przez nas pojęć. Wierzyliśmy święcie, iż wszyscy ludzie, jako tako samodzielnie myślący, zrozumieć je potrafią.

Aliliści nigdy ciekawie nie odgadnie jakie mu los zgótuje niespodzianki. Jeden z lokalnych Kolumbów zawsze skłonił do odkrywania z dawien dawna odkrytych już Ameryk, dowiedział się nagle, że w kawiarni „Agawa” odbywała się w soboty występy estradowe, ochrzczone przez organizatorów, szumnym mianem kabaretu, zapewne gwoździ zwabiających, którym nazwa kabaretu kojarzy się wyłącznie z placem Pigalle. Nic jednak z tych rzeczy — zapewniamy P.T. Publiczność, Kolumb, jak widać, niebawem w świecie, ażeal iż w Łodzi rozkwitła nagle wielka sztuka kabaretowa, a rolę miejscowych Medyceuszów spełnia nie kto inny jak same LZG-Kawiarnie.

Żuż od dość dawna, być może pana Michałkowym krocząc śladem, lokale gastronomiczne uświetniają swoje progi tzw. „działalnością rozrywkową”, która nie zawsze ogranicza się do samotnego dżentelmena lub leciwej damy melancholijnie brzdąkających na rozstrojonym fortepianie. Podwieczorki przy mikrofonie opromieniały blaskiem sławy warszawska „Sto lice”, a „Kongresowa” kusi swych gości występami autentycznej rewii. Nikt jednak z ludzi znających się na rzeczy nie traktuje tych imprez jako przejawu rozkwitu życia artystycznego stolicy i świadectwa przeżności środowisk artystycznych. Kłent ma nienal koastytucyjnie gwarantowane prawo do rozrywki, a artysta musi żyć czyli chałturzyć. Sprawa jest oczywista i wydawałoby się, nie podlegająca dyskusji.

Bardzo mądrze postąpiły tedy LZG-Kawiarnie urozmaicając długie wieczory konsumentów napoju — zwanego mocą umowy społecznej — kawą, prezentowaniem do syć kulturalnego i „sympatycznego” (rzeczywiście!) programu rozrywkowego. Ostatni program zatytułowany „Kochał się” jest składanką mniej i bardziej zabawnych tekstów i piosenek dotyczących rozmaitych aspektów problemu kontaktów międzyludzkich na wąskim, ale konkretnym odcinku kobieta — mężczyzna. Zakres wiedzy o przedmiocie jest dosyć szeroki i nie sądzę, aby autorzy tekstów mieli nam coś nowego w tej materii do zakomunikowania zarówno w kwestiach satyrycznych, jak i lirycznych. Teksty są jednak na ogół na przyzwoitym poziomie, nawet jeśli czasem kłopotują określone gusty i publiczność. Ale są to serwuty, których nie da się uniknąć w tego typu działalności na niwie gastronomicznej. Do „Agawy” przychodzi bowiem najczęściej publiczność przypadkowa, żadna raczej zabawy tańca i zdrowego śmiechu niż wzruszeń i przeżyć nieco wyższego rzędu i w szlachetniejszym wydaniu. Występy tzw. „Kabaretu” stanowią pewien antrakt w zabawie tanecznej. Trudno wymagać od rozbrawionej i zaprzatnionej sprawami najnowszych rytmów publiczności owego „uczestniczenia”, które stanowi jeden z fundamentów autentycznego kabaretu. Zresztą nawet warunki lokalowe „Agawy” nie sprzyjają takiemu uczestniczeniu, nie sprzyjają bezpośredniemu kontaktom aktorów i widzów. Pozostaje zatem konwencjonalna forma estradowych występów: skecze, monolog i piosenki. Koncepcja programu jest prosta i łatwa. Teksty obfite raczej niż masowe, niektóre znane właśnie z „Podwieczorku przy mikrofonie” lub innych podobnych imprez. Od czasu do czasu bliska jakiś autentyczny dowcip. Aktorzy: Nina Borońska, Tadeusz Sabara, Franciszek Trzeciak i Bohdan Wiśniewski są młodzi, świeży, poprawni. Jedynie może Tadeusz Sabara operuje bogatszym zasobem środków aktorskich, a zarazem dzięki dużej swobodzie poruszania się i zachowania, potrafi chyba najbardziej zbliżyć się do naszych wyobrażeń o sztuce aktora kabaretowego. Nina Borońska ujmując wszystkich wdziękiem i urodą — a to bardzo dużo. Akompaniują i czuwa nad oprawą muzyczną Jerzy Jabłoński. No, a nad całością trzyma pieczę, dostarcza tekstów własnych i cudzych — Ryszard Czubański. Chciałby on uczynić program występów w „Agawie” bardziej ambitnym, ale to nie takie proste. Chodzi już nie tylko o przyciągnięcie określonej, bardziej wyrobionej publiczności, chodzi także, jak zwykle zresztą, o sprawy finansowe. LZG nie dorównują, niestety, bogactwem Medyceuszom i dysponują bardzo ograniczonymi funduszami. Trudno ubiegać się o współpracę znanych autorów tekstów lub piosenek bez możliwości odpowiedniego wynagrodzenia ich trudu. Jak wiadomo, tylko grafomania tworzą dla sławy, prawdziwi zaś artyści wyłącznie dla pieniędzy. Może potrzebne kwoty dałoby się uzyskać przez nieznaczne podniesienie cen biletów wstępu.

Należy niewątpliwie wszystkim siłami popierać poczynania zmierzające do rozproszenia nudy długich jesiennozimowych wieczorów. Zawsze lepiej oglądać kulturalny program rozrywkowy w kulturalnym lokalu niż pić wodę w obskurnej knajpie. W Łodzi jest wciąż jeszcze za mało imprez rozrywkowych. A nasze lokale gastronomiczne są, niestety, wciąż jeszcze mało atrakcyjne.

Ale gwoździ zaspokajania lokalnego patriotyzmu, nie mieszajmy podstawowych pojęć, kochani! Występy w „Agawie” nie mają nic, ale to zupełnie nie wspólnego z kabaretem literackim, który jest twórczą, oryginalną formą aktywności artystycznej, i o taką właśnie formę w „Odgłosach” dyskusji chodziło. Kabarety nie powstaną na zamówienie władz gastronomicznych, bowiem rodzą się na ogół w sposób żywiołowy i spontaniczny. Jako wyraz pewnych głęboko odczuwanych potrzeb, zarówno ze strony twórców, jak i publiczności. Są one bez wątpienia świadectwem przeżności i integracji środowisk artystycznych. Udział w kabarecie nie może być traktowany tylko jako sposób zarobkowania, jako jeszcze jedna możliwość chałtury. Jest po prostu koniecznością życiową, tak jak to się dzieje w przypadku chociażby krakowskiej Płwnicy „Pod Baranami”. I właśnie o taki model kabaretu nam chodziło — powtarzam raz jeszcze — ponieważ okazuje się, że zawsze znaleźć można ludzi, którzy nie chcą lub nie potrafią zrozumieć rzeczy, zdaloby się, oczywistych.

Czy pani ma skizy?

„Pragnęłam w „Skizie” ukazać oscylację między skłonnościami naszego ciała, które jest „młde i skłonne do upadku”, a racjami wyższej natury, jaka jest potrzeba stałej bliskości wybranego przez nas człowieka”. (Od reżysera sztuki Krystyny Szneri).

O tym, że skłonności naszego ciała na ogół nie są najwznieślijsze nikt chyba nie wątpi. Ale tak w literaturze jak i w teatrze — a także w życiu — skłonności te dopiero po ujawnieniu zaczynają się liczyć.

Niewątpliwie ciało Tola jest młde i skłonne do upadku, co Zapolska bez osłonek ujawniła. Natomiast Lulu (żona Tola) „wie, że istnieje wartość wyższa od seksualnych emocji, tą wartością jest małżeństwo” i w związku z tym (i nie tylko z tym) skłonności jej ciała w tej grze nie odgrywają roli.

Alie — zwycięstwo Lulu jest gorzkie. Atutem, którym zwycięża jest przyzwyczajenie — wartość pozawłona blasku wielkości — pisze Krystyna Szner.

W istocie Tolo wraca do Lulu, bo ktoś mu będzie podawał lekarstwa, parzył ziółka i w ogóle. Poza tym czuje się zmęczony, nie czuje się niezbędnej mocy, by uporać się z zapalnymi miłosnymi dwudziestoletnią Muszką, którą to figlarz osobście rozbudził.

W przeciwieństwie do Lulu potrzeba stałej bliskości wybranego człowieka Tola niewiele obchodzi, jego racją jest „skłonne do upadku” ciało.

Kto tu wobec powyższego oscyluje między ciałem a duszą?

Lulu zdecydowanie poświęca się dla wyższych racji małżeństwa, Tolo zaś gorliwie poświęca się niższymi.

Zawsze mam pewne wątpliwości, jeżeli chodzi o sztuki typu „Skiz”. Co właściwie bardziej określa gatunek sceniczny: komedyczny przebieg tragedii, czy tragiczny przebieg komedii? Oczywiście, podmiot tych dwóch zdań nadany przez autora doradnie przesadza sprawę. Podejrzewam, że tylko doradnie.

„Gorzkie zwycięstwo” Lulu jest jedną z wielu kapitulacji, która ratuje jednego partnera przed zupełną samotnością, a drugiego przed komplikacjami życiowymi i rezygnacją z wygodniczych przyzwyczaję. Jest coś tragicznego w sytuacji jeszcze niestarych ludzi, godzących się jawnie i świadomie na trwanie związku, który niczego im już przynieść nie może, ani miłości, ani przyjaźni, ani nawet prawdziwego zrozumienia. Wszystko co ich czeka, to dalsza rezygnacja i jałowienie psychiczne.

Przyzwyczajenie to już najwęższy powód do przeżywania dwójki ludzi pod jednym dachem. Jedynym usprawiedliwieniem takiego pojęcia jest starość lub potomstwo. BOHDAN MAJDA (Lulu) jest światową damą na tym szczeblu emancypacji, który daje kobiecie poczucie równości z mężczyzną. Ale w działaniu samo poczucie nie wystarczy. Wywodzące się z tradycji nawyki oraz dziedziczne obciążenia płci ograniczają realizację teoretycznych założeń, które tym wskutek tego służą tym samym celom co poprzednio.

Majda w scenach emancypacji jest prawdziwie śmiała i swobodnie włada bogatym arsenalem środków aktorskich. Podobnie, gdy przeistacza się w mądrze argumentującą wyższe racje (Tolo) kobietę. Ale między jedną a drugą postawą jest Lulu — w gruncie rzeczy subtelna i staroświeczyczna podszta kobieta-powój. I tu odczuwa się pewne niedosyć.

Tolo jest dziewiętnastowiecznym — bon-vivantem, nie pozbawionym wdzięku i wiedzy o słabościach kobiecych. Jego podejście do sprawy małżeństwa nie jest wprawdzie odkryciem czy prototypem dla współczesności, jednakże czas mimo tak wielu przemian społecznych, nie zdeprecjonował tego mieszczańskiego modelu spokojnej oazy i bezpiecznej bazy wypadowej. (Tylko żonaty myślny nie staje się zwierzyńcem).

ZBIGNIEW JOZEFOWICZ (Tolo) jest uroczym lekkomyślnym i dobrośliwym miłośnikiem, jak wielu przedstawicieli płci męskiej, którzy cieszą się sympatią u wszystkich prócz własnych żon.

W błyskotliwych powiedzonkach i eleganckich gestach Józefowicz celuje. Niekiedy przesadza w fałdopowatości. Młode małżeństwo — Muszka i Witus — problemowo jest tylko akompaniamentem dla starszego.

IZABELLA PIENKOWSKA jako młoda mężatka Muszka jest konsekwentna. Zarówno wtedy, gdy lirycznie poddaje się uwodzielejskim zabiegom Tola, jak i w scenach żywiołowo okazywanych afektów miłosnych nie traci naiwnego wdzięku.

ANDRZEJ MAY również i w komedii czuje się dobrze; właśnie on jest chyba najbliższy tego gatunku scenicznego w „Skizie”.

Jest to rzecz śmieszna, ale nie żalosna, gdy młodego człowieka bardziej interesuje pielęgnacja bytła niż piękna żona.

Jest to też sprawa stara jak świat, że pielęgnacją uczu młodej kobiety zajmują się obeznani w tej materii panowie.

Emancypantka Gabriela Zapolska, nie ogłosiła w „Skizie” żadnego manifestu ani nie „podjęła walki” z obyczajowością, w której kobieta jest człowiekiem mniej wolnym od mężczyzny.

Zapolska napisała komedio-dramat obyczajowo-psychologiczny, w którym wyższe racje kobiety giną w tradycyjnej walce o utrzymanie mężczyzny.

Rabindranath Tagore powiedział: kobieta jest trwaniem, mężczyzna ruchem.

Zapolska tę tezę potwierdziła. Spektakl łódzki również.

„Skiz” Gabriela Zapolska. Teatr Nowy (Mała Sala) — reżyseria: Krystyna Szner. Scenografia: Iwona Zaborowska.



Foto: Jiri Dlouhy

Tele - obiekty w

I. DZIEDZIC

Sporo narosło wokół niej mitów.

Irena Dziedzic na ekranie telewizyjnym budzi tyleż aprobaty co sprzeciwu. Błyskotliwa i egocentryczna, uroczą i chwilami niemal arogancka, znakomicie opanowana i kapryśna, promienna i mało dowcipna, zabiegająca o sympatię publiczności i ulegająca wzmrożonemu samopoczuciu, wiele obiecująca i przynosząca, jakże często rozczarowująca...

Myślę, że warto zweryfikować pewne obiegowe sądy i to nie gwoli reklamy. Tej, pani Irena nie potrzebuje. Albo inaczej: sama potrafi dbać o nią znakomicie. Jeżeli chce przeprowadzić analizę z minutę telewizyjnej instytucji, jaka jest Irena Dziedzic, to czynię to, by wgrzyźć się w

pewne trudne do określenia tajniki małego ekranu. Do których nie zawsze dojdzie można drogą logicznego rozumowania.

Irena Dziedzic nie jest idealną telewizyjną osobowością. Ale do tego rzadkiego zjawiska zbliżyła się chyba najbardziej z całej plejady profesjonalnych prezenterów telewizyjnych, zyskując ogromną popularność.

Ideal realizuje się w dążeniu do czegoś, co ułotne, co wiecznie oddala się i jest nieosiągalne. Powtarzam: Dziedzic, czy jak się popularnie mówi, Dziedzicówna, zbliżyła się do ideału niebezpiecznie blisko. I może właśnie dlatego popełniała to proste i popłatne tyle błędów, ujawniała tyle wad i braków, że jednocześnie bardzo się od ideału oddalała.

Telewizja przeżywa okresowe przypływy i odpływy Dziedzicówny. Ona jest nieustraszona. Wypełniła sobą każdą szczelinę, każdą pozostawioną jej próżnię. Okresy przypływów są triumfalnymi

pochoodem, kraszonym niezliczoną ilością kusicielskich uśmiechów. Ale równocześnie przypływy zapowiadała nieuchronny odpływ, kontrofensywę przeciwników pani Ireny, których nie brak chyba i w kierownictwie programowym TV.

Odpływ musi nastąpić, bowiem Dziedzic sama nie zna miary. Gdyby nie natrafiła na opór, gotowa byłaby wypełnić sobą całą program od powiedzi porannej po piosenkę na dobranoc. Przecież i tego próbowała w swojej karierze.

Aktualnie jesteśmy po generalnym odpływie, ale w trakcie nowego przypływu. Wprawdzie w wywiadzie udzielonym jednemu z tygodników warszawskich z okazji piętnastolecia TV, robiła wyraźne aluzje. Mam teraz dużo wolnego czasu, mówiła, żeby rozmyślać o jubileuszu. Ale na ekranie w tygodniu jubileuszowym było jej pełno.

Więc najpierw „Tele-echo”. danie firmowe pani Ireny.

Wiele osób próbowało ją w tym zastąpić, nikomu się nie udało. „Tele-echo” ma w sobie coś z dawnych salonów wielkich dam. Salonów pełnych ludzi, ale z jedną królową.

Zaprasza się tu ludzi wybitnych, ludzi ciekawych, ludzi mających na różne tematy coś do powiedzenia. Wszyscy oni przychodzą do studia w mniemaniu, że będą dobrze zaprezentowani milionem telewidzów, że stana się bohaterami parominitutowego odcinka programu, kiedy kamera zwróci się ku ich stolikowi, a pani Irena zasiądzie przed nimi. Jakże się myli!

Nie rozumieją, że w „Tele-echo” prezentuje się tylko jedna osoba. Że służą za tło dla uśmiechów pani Ireny, dla miniek pani Ireny, dla gestykulacji pani Ireny. Później jest zainteresowanie jej osobą rozmówcy, czy sprawami, które rozmówca relacjonuje. Między treścią rozmowy a uśmiechami prowadzącej panie nierzadko całkowity asynchron.

W niedzielę, 29 października pani Irena uczestniczyła w rozwiązaniu kolejnego plebiscytu Archimedes. Nie będzie tu wdać się w ocenę plebiscytu, którego wynik można było wywróżyć bezbłędnie już w chwili jego rozpoczęcia. (Jakiś stosunek ma przeciętny Polak do Beatrycze? Nawet na George Sand patrzy tylko przez pryzmat jej związków z Chopinem. Kleopatra, to całkiem inna sprawa).

Przypomnę natomiast sposób, w jaki Irena Dziedzic pomagała prowadzić audycję zamykającą plebiscyt. W wywiadach z modelkami „Moty Polskiej” i udzielając sama wywiadu Eugeniuszowi Pachowi, pani Irena manifestowała raz jeszcze (któryż to raz!), że treść programu jest jej zupełnie obojętna.

Gotowa była podstawić swoją osobę w miejsce Kleopatry, w miejsce Beatrycze i w miejsce George Sand. Zapytana przez red. Pacha, na którą z trzech bohaterek głosowałaby, wypowiedziała z pełnym po-

białiwości wdziękiem szereg komunałów. Ale przecież słowa te nie miały służyć przekazanym jakimkolwiek oryginalnym treści. Były tylko kanwą dla nowej serii uśmiechów i przeciągłych spojrzeń. Miały raz jeszcze skokietować publiczność.

Ogólne wnioski? Sam nie wiem. Czuję, że dałem się podcażać pisanu tego felietonu zafascynować raz jeszcze, osobowością pani Dziedzic. Wiem, że nie tak należy prezentować programy, znam od lat cały repertuar jej sztuczek i gier, a jednak jestem dla niej pełen podziwu. Dla jej żywiołowości i dla poświecenia się telewizji bez reszty.

Programy z nią, to całopalne ofiary. Denerwujące, rażące, a przecież tak bardzo telewizyjne.

Władysław Ornam

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Trzeci z lewej — Wsiewołod Wsieniewski



„Pierwsza konna” w teatrze w Genewie

50 ROCZNICA REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ NA SCENACH FRANCUSKICH

■ Paryska publiczność teatralna ma możliwość zapoznania się z dwiema sztukami związanymi tematycznie z Rewolucją Październikową. Théâtre Romain-Rolland w Villejuif wystawia „Dzień sięgający do nieba” według słynnego dzieła Amerykanina Johna Reeda, a Théâtre w Genewie „Pierwsza konna” Wsiewołoda Wsieniewskiego.

Raymond Gerbal dyrektor teatru Romain Rollanda, powiedział przedstawicielowi dziennika „l'Humanité”: „W zeszłym roku miałem okazję oglądać w Moskwie spektakl wystawiony przez Ljubimowa. Był zafascynowany żywiołowością i siłą wyrazu przedstawienia. Postanowiłem więc je wystawić z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej”. „W tej sztuce jest śpiew, jest taniec... Wita się przyjeźdźców, wita się wśród radości”. „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”

jest widowiskiem, w którym bierze udział 45 aktorów grających 150 ról. Autorem muzyki jest Patrice Mestral.

Wsiewołod Wsieniewski, autor „Pierwszej konnej” dramatycznej, publicystycznej i prozatorskiej, urodził się w roku 1900. Miał lat 14 uciekał z domu na front. W roku 1917 był uczestnikiem rewolucji w Piotrogradzie. W latach 1918-1920 walczył w I armii konnej, potem w marynarce wojennej. Debiutował w prasie frontowej, wydając tom o powstaniu. W roku 1921 debiutował jako dramaturg. „Pierwsza konna” ukazuje się na scenie w roku 1929. W roku 1933 Wsieniewski zdobył szeroki rozgłos jako autor sztuki dramatycznej „Tragedia optymistyczna”. Jest też m. in. autorem scenariusza słynnego filmu „My, z Kronsztadu”. Umiera w roku 1951 nie ukończywszy epopei pt. „Wojna”. Nad książką tą pracował w ostatnich latach swego życia.

TAJEMNICA WILHELMA STORITZA

■ Nie jest przypadkiem, że jako pierwsza dzieło dla wspólnego francusko-czechosłowackiego opracowania telewizyjnego wybrano powieść Jules Verne'a pt. „Tajemnica Wilhelma Storitza”. Pisarz ten cieszy się popularnością zarówno we Francji jak i w Czechosłowacji. Akcja adaptowanej dla małego ekranu powieści będzie się częściowo rozgrywała w Pradze.

Dzieło „Le secret de Wilhelm Storitz” Verne napisał, gdy miał już 74 lata. Powieść ukazała się w druku w osiem lat po jej napisaniu i już po śmierci pisarza. Ostatnie lata życia Jules Verne'a otacza tajemnicą. Już na kilka lat przed jego śmiercią krążyły pogłoski, że pisarz nie żyje, a dzieła które się ukazywały nie są jego dziełami. Nie wiadomo, gdzie Jules Verne przebywał. Jak się po tem okazało mieszkał on niedaleko Paryża, w A-

miens ale stał się mizantropem i samotnikiem. W roku 1886 jeden z jego siostrzeńców podobno



Pascale Audret w roli Marty

cierpiący na zaburzenia psychiczne, postrzelił pisarza w nogę. Badacze nie znaleźli jednak o incydencie żadnej wzmianki w osobistych papierach Verne'a, gdyż wszystkie prywatne dokumenty zniszczył on przed swą śmiercią.

Powieść „Tajemnica Wilhelma Storitza” jest pod jednym zwaśnięciem względem bardzo charakterystyczna i odmienna od dotychczasowych dzieł tego pisarza. Oto wśród elementów science-fiction w jakie obfitują jego dzieła po raz pierwszy w twórczości Jules Verne'a pojawia się motyw walek miłosnych. Czyżby pisarz pod koniec życia przeżył miłosny dramat? Czy Martę, bohaterkę ostatniej powieści nie jest wspomnieniem miłości pisarza? Czy incydent, w wyniku którego raniono pisarza miał coś z dramatem miłosnym? Nie mamy na to odpowiedzi.

SKARBY MUZEÓW RADZIECKICH

■ W paryskim Grand Palais odbywa się wielka wystawa pod nazwą „Skarby muzeów radzieckich”. W uroczystym otwarciu wzięli udział m. in. minister kultury André Malraux i Jekaterina A. Furcewa minister kultury ZSRR.

Wystawa została zorganizowana w ramach wymiany kulturalnej radziecko-francuskiej. W ramach tej wymiany w zeszłym roku Francuzi urządzili w Moskwie i Leningradzie wystawę pod nazwą „Rodzin i jego czas”.

„Skarby muzeów radzieckich” — to szeroki przegląd dzieł sztuki (ok. tysiąca eksponatów) o archeologicznych przedmiotach pochodzących z wykopisk na terytoriach ZSRR, aż po nasze dni. Większość eksponatów jest po raz pierwszy prezentowana poza granicami ZSRR.

Dla paryżan wystawa stanowi prawdziwą rewelację, toż cała prasa francuska zamieszcza jej omówienia. Ogromne zainteresowanie budzą eksponaty, które dotąd można było ujrzeć jedynie w muzeach radzieckich, głównie w Moskwie i w Leningradzie. Wystawa zawiera cztery zasadnicze działy: sztukę antyczną, sztukę średnio-wieczną, malarstwo i rzeźbę XVIII i XIX wieku, malarstwo i rzeźbę od 1917 roku do dnia dzisiejszego. Wystawę otwiera eksponat najstarszy — statueta wyobrażająca kobietę, tzw. „Wenus paleolityczna”, gdyż pochodzi z młod-



Terakota z neolitu

szego paleolitu. Dzieło wykonane jest z kłów mamuta.

Inne rzeźby i statuetki pochodzą z epok późniejszych jak z epoki brązu czy z epoki żelaza. Ogromne zainteresowanie francuskiej publiczności budzi tzw. skarb Scytów. Eksponaty te pochodzą z VI do II w. p.n.e. i budzą podziw precyzją wykonania. Scytowie byli irańskim ludem koczowniczym, który w wiekach od VII do II p.n.e. zasiedlał tereny południowo-wschodniej Europy i środkowej Azji. Chociaż swych zmarłych wodził, Scytowie zaopatry-



Czarna wół z wykopalisk w Krasnojarsku

wali ich w ozdoby ze srebra i złota. Później Scytowie w zetknięciu z koloniami greckimi

nad Morzem Czarnym zaczęli ulegać kulturowym wpływom greckim. W dziale ikon eksponowanych jest 65 dzieł.

Zwyłe zainteresowanie paryżan wzbudziły „Skarby muzeów radzieckich” w szerokim i pełnym zestawie pokazane po raz pierwszy poza granicami ZSRR w dniach obchodów 50 rocznicy Wielkiego Października.

TURGIENIEW WIDZIANY PRZEZ SWĄ WIELKĄ MIŁOŚĆ

■ Pod takim tytułem paryski dziennik „Le Figaro” zamieszcza reprodukcję portretu Turgeniewa. Portret ów został wykonany przez Paulinę Viardot. W roku 1843 autor „Notatek myślowych” zakochał się w śpiewaczce Paulinie Viardot, córce hiszpańskiego tenora, Manuela Garcia. Paulina miała piękny głos mezzosopranowy, grała świetnie na fortepianie i władała siedmioma językami w tym i rosyjskim. Poza tym



Portret Turgeniewa wykonany przez Paulinę Viardot.

doskonale rysowała, jak tego dowodzi portret Turgeniewa. Rysunek ten jest reprodukcją z książki, którą napisał o wielkich powieściopisarzach rosyjskich Michel R. Omann. W książce tej pt. „Grands romanciers russes” bogato ilustrowanej autor dał przegląd życia i twórczości wybitnych rosyjskich pisarzy wraz z krótkimi tekstami wybranymi z dzieł danego pisarza.

Bez strachu

WSZYSTKO

Wszystko to, co nas otacza, i to, czym my jesteśmy, podlega coraz szybszym i gwałtowniejszym przemianom. Skutki przemian stwierdzić możemy naocznie (np. Jan się postarzał, posiwiał), bądź jesteśmy o nich informowani (np. Teoria kwantów rozwija się w taki a taki sposób). Zachodzą przemiany, na które zdolni jesteśmy wpłynąć — powstrzymać, przyspieszyć lub zmienić ich kierunek, oraz takie, na które nie potrafimy wpłynąć. Bieda w tym, że często nie wiemy, jak daleko sięgają, bądź mogą osiągnąć nasze wpływy. Jan powiada do mnie: „Będę się starzał”, a ja mu na to: „Ale dlaczego?”, spotykam go po roku i pytam, czy wytrzymał w hezjusowym zamyśle i czy istotnie nie starzeje się. Powiada, że to przecież niezmiennie od jego zamiaru, a ja mu na to, że tylko w pewnym stopniu niezależne — może, na przykład, przestać palić, spróbować kuracji polio, osobiście dorażam szczególnie gorliwie ćwiczenia psychologiczne. Wtedy Jan powiada, że to wszystko „pośrodku”, wysmiewa przy okazji jogów. Bieda w tym, że Jan wszystko wie, a nie wie, że młodość jest postacią zdrowia, a tutaj kwestia palenia jest sprawą zasadniczą, nie wie, że o ćwiczeniach jogów Angley i Niemcy napisali uczono, pełne respektu dzieła, że stawał się ko nieczny element treningu radzieckich kosmonautów. Cóż począć z Janem, z jego złą, samoniszczycielską wiedzą, wiedzą na służbie starości i śmierci. Własnie to starość i śmierć rozchylały się w Janie ponad przypisaną im konieczność miare. W każdym z nas istnieje starość i śmierć, jako element konstrukcyjny ludzkiej istoty — każdy z nas ma szkielet, lecz szkielet ten obronny jest pracownością, a w szpiku jego tkanki trwa żywiołowa produkcja krwinek. Rozgrzewa między życiem a śmiercią, w nas w dniu narodzin a także w okresie poprzedzającego narodziny bytowania płodowego. Otóż od momentu uformowania się Jazni, staje się ona arbitrem tej rozgrywki. Arbitrem jedynie, a nie sędzią o ostatecznych uprawnieniach. Nie może wpłynąć na natężenie lub osłabienie instynktów życia i śmierci — może jednak powstrzymać go, gdy jeden z partnerów rozgrywki, łamie prawa, przypisuje sobie moc, której nie posiada. Jazni Jana to sędzia usłony, sędzia, który w nieczystych momentach ocenia i krzyczy i przyznaje ślepo rację żywiołowi śmierci. Jan upodobał sobie własną starość, powołuje się na nią, woła jak dziecko: „Uważajcie, postarzejcie się i umrę!” — otóż Jan błądzi, gdyż nikt z dorosłych, przerażony tą możliwością, nie nadbiegnie z pomocą. Jan woła o swojej starości i śmierci w pustce, wysmiewa lekarstwa, odrzuca środki zaradcze, a nade wszystko odrzuca siebie — przekradając własny instynkt życia. Kto kocha śmierć powinien starać się o przedłużenie życia, bowiem z jego końcem nastąpi kres wszelkiej miłości, nawet miłości śmierci. Dlatego doradzam najsłabszym pomyślnym troskę o istnienie — jego kres pozbywa ich miłości żywiołowa umiłowana rozpaczy. Doradzam im tę troskę szczególnie, gdy są z nami, gdy zależne i niezależne od nas przemiany dynamiczują się, gdy każde słowo nabiera wagi wypadającego z ust kamienia. Najwyższy już czas, by każdy z nas, uporał się z własnymi przemianami, i abyśmy wspólnie spróbowali powiększyć naszą wiedzę o pozornie odległych i istotnych przemianach, na które dotychczas nie mieliśmy wpływu, być może, skutkiem braku odpowiedniej wiedzy. Współczesny człowiek, to osobnik skoncentrowany, świadomy własnych możliwości i pozbawiony świadomości własnych granic — bowiem wraz z rozrastaniem się świadomości, rozstają się granice mocy. Być może stan współczesnej teorii kwantów wiąże się ściśle z siwizną Jana — aby dojść w tym przedmiocie do rozsądnych hipotez, trzeba ba wiele wiedzieć o obu tych kwestiach. Natomiast by mieć o tym przedmiocie pewną wiedzę, trzeba wiedzieć o obu tych kwestiach wszystko.

Włoski film społeczno-obyczajowy od wielu już lat drapieżnie atakujący najbardziej charakterystyczne przejawy obowiązujących w jego społeczeństwie norm moralnych i zwyczajowych, w swym kraju jest sztuką walczącą, godną doprawdy zadziwienia. Ten sam temat pojawia się na ekranie w tonacjach najprzeróżniejszych — tragicznych i komediowych, satyrycznych i groteskowych. Jeszcze nie ochłoneliśmy z pełnych wewnętrznej pasji, rozterek i poszukiwań obrazów Felliniego, a już Germi i Ferreri atakowali nas najostrejszą satyrą i groteską, w której byli mistrzami. Ale i poniekąd mistrzowie zaczynają być zmęczeni, a ci, którzy ich ślepią próbują na epigony. Nie zawsze to jednak ich wina, że odkrycie tematu nie do nich należało. Epigoni ponoszą winę, że nie potrafili go potrzebnie, czynią ją powszechniejszą. Oparcie się już dziś na przykładach filmu włoskiego, przypomnijmy, jak po o-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Włoski film społeczno-obyczajowy od wielu już lat drapieżnie atakujący najbardziej charakterystyczne przejawy obowiązujących w jego społeczeństwie norm moralnych i zwyczajowych, w swym kraju jest sztuką walczącą, godną doprawdy zadziwienia. Ten sam temat pojawia się na ekranie w tonacjach najprzeróżniejszych — tragicznych i komediowych, satyrycznych i groteskowych. Jeszcze nie ochłoneliśmy z pełnych wewnętrznej pasji, rozterek i poszukiwań obrazów Felliniego, a już Germi i Ferreri atakowali nas najostrejszą satyrą i groteską, w której byli mistrzami. Ale i poniekąd mistrzowie zaczynają być zmęczeni, a ci, którzy ich ślepią próbują na epigony. Nie zawsze to jednak ich wina, że odkrycie tematu nie do nich należało. Epigoni ponoszą winę, że nie potrafili go potrzebnie, czynią ją powszechniejszą. Oparcie się już dziś na przykładach filmu włoskiego, przypomnijmy, jak po o-



Wszystkim, którzy smutni wychodzą z filmu Pietrangeli, polecić można inną powieść o matrymonialnej ofercie, tym razem w tonacji komediowej. Jest nią „KAUKASKA BRANKA” w reżyserii L. Gajdaja, film z serii festiwalowych premier filmu radzieckiego.

Ku uciesze bliźnich wskrzeszono w tym filmie obyczaj przodków, którzy z przyczyn oczywistych musieli kiedyś dawać sobie radę bez pośrednictwa biur matrymonialnych. Porwanie upatrzonej na towarzyszkę życia dziewczyny, należało do ciut barbarzyńskich, ale skutecznych sposobów. Ponieważ świat się pono zmienił, tym razem „kaukaska branka” zdołała wyrwać się z ramion mało pomyślnego wielbiciela.

L. Gajdaj nazwał swój nowy film „komedią ekscentryczną”, my dodaj-

my, że zrealizował komedię naprawdę śmieszna, co, jak wiadomo, wcale nie jest rzeczą łatwą. Pamiętamy już całkiem udany, a znany u nas film Gajdaja „Operacja Y”. W „Kaukaskiej brance” spotykamy znów czterech bohaterów tamtego filmu — sympatycznego Szurika, i spółkę trzech drani i walkoni — Tchórzę, Kiepu i Bywał. Wszyscy czterej przebywają teraz na gościnnych występach na Kaukasku; Szurik — etnograf usiłuje badać miejscowy folklor i ratuje nieszczęśliwą i uroczą brankę, a pozostali, na zlecenie miejscowego kacyka, trudnią się jej porwaniem i pilnowaniem.

Reżyser A. Pietrangeli realizując swą „OFFERTĘ MATRYMONIALNĄ”, sięgnął do tej skarbnicy tematów, z której, jak się rzekło, korzystał już lepsi od niego mistrzowie. Trzeba tu jednak lojalnie przyznać, z niewątpliwą dla filmu szkoda, oglądamy go z kilkuletnim opóźnieniem, publiczność, jak wiadomo, jest okrutna, zwłaszcza wtedy, gdy czując ambicje autora nie znajduje ich pełnego potwierdzenia w dziele. Ambicja Pietrangeli było niewątpliwie zrobienie filmu społecznie demaskatorskiego, krytykującego zakłamanie obyczajowe i moralne. Germi atakował poludnie Włoch, Pietrangeli przeniósł na północną prowincję i zaprosił tam rzymsianina. Nie

będzie chyba w sądach odosobniona, gdy zauważę, że niestety, w tym filmie powielono jeszcze raz to wszystko, co o pustce codzienności, i to nie tylko prowincjonalnej, wiemy. Przedstawiono motywy i postacie znane nie tylko z filmów włoskich. Pietrangeli oparł się na marginesach rzeczywistości, nie zdemaskował jej źródeł, pozostał na naturalizmie. A mimo wszystko ta opowieść o pełnym po- czatkowym spotkaniu ludzi, których zetknięcie oferta matrymonialna, ma swój nastrój, któremu nie sposób się nie poddać. A może to nas właśnie tak w tym filmie drażni. Ten wszechogarniający smutek, który tkwi w straszliwej niemożności i banalności ludzkiej marzeń i rozczarowań. O tym, że nastrojowi jednak ulegamy, świadczy chyba fakt, że cieszy nas zakończenie tej historii, w której najsłabszy poczuł ludzką godność i odnosił jednak swe smutne zwycięstwo.

stanie najaktywniejszych członków „matrymonialnej eskapady” dają okazję do wielu świetnych pomysłów, które potrafią rozbzmurzyć niejednego ponuro nastrojonego widza.

Sukces Gajdaja polega głównie na tym, że umiejętnie wykorzystuje możliwości, jakie podsuwa mu satyra z jednej, a poetyka burleski z drugiej strony. Uczestnictwo w tym filmie, to oczekiwanie na nową niespodziankę, nowy gag, i choć czasami rozpoznajemy w nich rzeczy już znane, cieszymy się ze spotkania, i z jeszcze większą uciechą witamy nowe pomysły. Podobna nam się Gajdaj i jego aktorska spółka, umieją bowiem łączyć zdrowy śmiech z nutą obywatelskiej troski, bo nie o porwanie branki głównie w tej zabawie chodzi.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

KONSKIE OKO DEWIZY TUCZY

Winicjusz i Demon — Schagya — to dwie znane znakomitości Państwowego Stada Ogierów w Bogusławicach. Dodam gwoździ ścisłości — powiat Piotrków. Oba konie są urzekająco piękne. Oko żywe i inteligentne, ucho małe i wdzięcznie wymodelowane, nozdrza nieustannie ruchliwe, kształtna głowa i szyja, budowa mocna, lecz sylwetka harmonijna i smukła, każdy ruch taneczny, pełen gracji, siły i temperamentu.

Winicjusz ma osiem lat. Jest jednym z najlepszych koni w Polsce w konkurencji Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego. Ma zapewne start na olimpiadzie w Meksyku, jeśli oczywiście polska ekipa jeździecka w ogóle na olimpiadę wyjedzie. Brał zwoy medal w mistrzostwach Polski w WKKW w roku 1966, IV miejsce na mistrzostwach Polski w ujeżdżeniu konia w roku 1967, oraz szereg innych nagród i wyróżnień.

Dziesięcioletni Demon-Schagya: złoty medal na mistrzostwach Polski w WKKW w roku 1965 i srebrny w tej samej konkurencji w roku 1967. I miejsce w roku 1966 na międzynarodowych mistrzostwach w NRF w konkurencji WKKW.

1. Państwowe Stado Ogierów w Bogusławicach liczy 235 koni hodowlanych, ogólnie, rzecz biorąc, sportowych, wierzchowych, roboczych, renowacyjnych — tzn. przeznaczonych na potrzeby wojska, oraz rezerwowych. Wszelako trzon stada stanowi 35 hodowlanych ogierów sportowych czy też krwi arabskiej i pełnej krwi angielskiej. Ujmując rzecz ściślej, jest to najbardziej pływająca grupa koni w stadzie ze względu na eksport. Co roku 30-40 ogierów tej klasy kupuje Szwajcaria, Holandia, Włochy, Kanada, ZRA, Finlandia NRF i inne kraje. Ceny na te ogiery są często wprost zawrotne. PSO w Bogusławicach sprzedawało niedawno do Stanów Zjednoczonych ogiera czystej krwi arabskiej za milion złotych; a ogiera pełnej krwi angielskiej za pół miliona złotych!

W związku z tym należy podkreślić jako godne uwagi, iż polska hodowla arabska uważa się dziś za najlepszą w świecie, a konie z niej pochodzące osiągają bardzo wysokie ceny na zagranicznych rynkach. Dość powiedzieć, iż wyhodowane w kraju konie sportowe sprzedajemy w cenie od 30 do 150 tysięcy złotych za sztukę.

Wspomnę jeszcze, iż bogusławickie ogiery wywodzą się z wyjątkowo z rasy szlachetnych. Obok już wspomnianych, są tu ogiery cięższe — pół krwi małopolskiej i pół krwi wielkopolskiej oraz ciężkie, przede wszystkim ardensy i perserony, niektóre do ośmiuset i tysiąca kilogramów wagi.

2. Konia przewija się przez znaczną część historii ludzkości. Hodowle koni wierzchowych prowadzili już Indoeuropejczycy w północnej i środkowej Europie we wczesnej epoce kamiennej, tj. 4000-2000 lat przed n. erą. Konia odnajdujemy w baśniach Ezo. Również w baśniach sumeryjskich, które nie tak dawno odszyfrował z pisma klinowego amerykański uczonec S. H. Cramer. Głoszą one, iż Sumeryjczycy jeździli wierzchem na koniu już dwa tysiące lat przed n. erą.

3. Smał historii przebiegł koni wespół z człowiekiem. Towarzystwo mu w niezliczonych krwawych bojach, pracował z nim na roli, wraz z człowiekiem odnosił wspaniałe zwycięstwa i ponosił dramatyczne klęski. Wszedł do literatury pięknej, odegrał niepoślednią rolę w historii sztuki i wielką rolę w historii wojen. Tak, i jeśli nawet kiedykolwiek współczesny świat usunie go z życia na zawsze, nie da się go wymazać z kariery historii i długo jeszcze pozostanie w pamięci ludzkiej.

4. Nie sposób pominąć pomysłowej formy turystyki międzynarodowej, jaka sa wczasy w siodle dla turystów z zagranicy. W niektórych stadiach i stadninach, jak na przykład w Białym Borze, w Gnieźnie, Łucku, Białcu, cieszą się one ogromną popularnością wśród przybyszów z krajów zachodnich. Dziennik szwedzki „Skanska Dagsblad” zamieścił wrazenia dyrektora Ulf Christianssona z Centralnego Związku Sportu Jeździeckiego w Szwecji z jego pobytu na wczasy w siodle w Białym Borze: „Po lacy pozwolili nam jeździć na wspaniałych koniach. U nas w Szwecji nigdy by nie zaryzykowano oddać tak doskonałe konie w ręce nieznanym jeźdźcom”.

5. Bardzo pochlebne i często obszerne reportaże i opinie o wczasach w siodle w Polsce zamieściły również pisma belgijskie, francuskie, brytyjskie i szereg innych.

6. Kilka lat. W roku 1963 na wczasy w siodle przyjechało do Polski, czterech tu rystów zagranicznych. W 1964 — już 29, w 1965 — 103, z Francji, Szwecji, Anglii, Au-

Tak, tak, koń nie da o sobie szybko zapomnieć.

W Bogusławicach już od kilkunastu lat rozwija owocną działalność sekcja jeździecka LZS. Obok pracowników PSO i ich rodzin do sekcji należy sporo osób z Piotrkowa, z Tomaszowa, a nawet z Warszawy. Ualentowani juniorzy sekcji — Jacek Rosiński i Krzysztof Sońta odnoszą sukcesy jeździeckie zarówno w skali krajowej jak i międzynarodowej.

Sukcesami mogą się również pochwycić seniorzy. Oto masztalerz PSO p. Zbigniew Madejczyk jest aktualnym wicemistrzem Polski w konkurencji olimpijskiej Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego na rok 1967 w tej samej konkurencji, zdołał być mistrzostwo Polski. P. Madejczyk ma również na swym konie kilka sukcesów zagranicznych, m. in. w NRF CSRS i Irlandii na mistrzostwach Europy w WKKW.

Trener i masztalerz PSO, p. Wacław Gajda zdobył w roku 1958 tytuł wicemistrza Polski w ujeżdżaniu konia.

Do interesujących inicjatyw PSO w Bogusławicach należy coroczne organizowanie wczasów w siodle dla studentów. Imprezy te zapoczątkowano cztery lata temu i cieszy się ona coraz większym wzięciem. Wczasy organizuje się centralnie w drodze umów między ZSP i Zjednoczeniem Hodowli Zwierząt Zarodkowych w Warszawie. Turnusy trwają po trzy tygodnie i przyjeżdża po 25 osób pięci obojga, z których uczelni w całej Polsce. Chętnych moc, niestety ilość miejsc ograniczona i dostać się na wczasy w siodle w Bogusławicach bardzo trudno.

7. Nie sposób pominąć pomysłowej formy turystyki międzynarodowej, jaka sa wczasy w siodle dla turystów z zagranicy. W niektórych stadiach i stadninach, jak na przykład w Białym Borze, w Gnieźnie, Łucku, Białcu, cieszą się one ogromną popularnością wśród przybyszów z krajów zachodnich. Dziennik szwedzki „Skanska Dagsblad” zamieścił wrazenia dyrektora Ulf Christianssona z Centralnego Związku Sportu Jeździeckiego w Szwecji z jego pobytu na wczasy w siodle w Białym Borze: „Po lacy pozwolili nam jeździć na wspaniałych koniach. U nas w Szwecji nigdy by nie zaryzykowano oddać tak doskonałe konie w ręce nieznanym jeźdźcom”.

8. Bardzo pochlebne i często obszerne reportaże i opinie o wczasach w siodle w Polsce zamieściły również pisma belgijskie, francuskie, brytyjskie i szereg innych.

9. Kilka lat. W roku 1963 na wczasy w siodle przyjechało do Polski, czterech tu rystów zagranicznych. W 1964 — już 29, w 1965 — 103, z Francji, Szwecji, Anglii, Au-

10. Konia przewija się przez znaczną część historii ludzkości. Hodowle koni wierzchowych prowadzili już Indoeuropejczycy w północnej i środkowej Europie we wczesnej epoce kamiennej, tj. 4000-2000 lat przed n. erą. Konia odnajdujemy w baśniach Ezo. Również w baśniach sumeryjskich, które nie tak dawno odszyfrował z pisma klinowego amerykański uczonec S. H. Cramer. Głoszą one, iż Sumeryjczycy jeździli wierzchem na koniu już dwa tysiące lat przed n. erą.

fakt nazbyt widocznej i nazbyt — tak już murem powiedz — nachalnej inicjatywy dziewcząt.

Takie mamy śliczne dziewczęta, jakich w żadnym jeszcze pokoleniu nie było. O wiele urodzawsze, niż meska potwora młodzieży. Śliczna dziewczyna idzie pół kroku za obrośniętym po oczu drągalem i niesie ciężką, pełną książek siatkę. Wchodzi do tramwaju — on pierwszy, ani się obejrzę. W tłoku dziewczyna robi wszystko (dziewczyna, nie chłopak), żeby się do niego przycisnąć. Potem zwalnia się miejsce i śliczna dziewczyna proponuje, aby zajął je jej towarzysze. Donium po sekundzie wahania stada, dziewczyna stoi i nadal trzyma ciężką siatkę z książkami, może nawet z jego książkami. Wstyd mi jakoś, chociaż pewnie mam więcej lat, niż on oboje razem. Przecież to nie o takie równouprawnienie kobiet chodziło?

Taki widocznie styl, że chłopak wstydzi się być przeczytnym. Kiedy raz zdarzyło się — znów w tramwaju — że młodzieniec zeskoczył pierwszy ze stopnia i jeszcze podał rękę schodzącej za nim dziewczynie, patrzącej na to pensjonarki na pomoście wybuchnęły śmiechem. Cóż za śmieszny typ! Zupewnie nie z tej ziemi! Prawdziwy mężczyzna w pojęciu pensjonarek powinien kłaść, spluwać przez zęby i w mieszanym gronie rozmawiać wyłącznie z kolegami, ponad głowami koleżanek, najlepiej o meczu boksejskim. Prawdziwy dziewczętaświat mężczyzna nie prosi do tańca ani za taniec nie dziękuje — zwyczajnie podchodzi, bierze, milcząc obkaskuje dookoła w tańcu bebną (reszta orkiestry zbiteczna) i milcząc zostawia na środku sali. I tak wie, że wszystkie ciele pod ścianami aż pękają z ochoty, żeby być tak przez niego obkaskowane.



stii i Belgii. A w roku 1966 około 200 cudzoziemców z przeróżnych krajów zachodniej Europy. Rosnąca tendencja tych liczb wyraźnie wskazuje na wzrastające zainteresowanie zagranicy tą formą turystyki w Polsce. W związku z tym warto by zwrócić uwagę na szersze wykorzystanie takiej okazji.

Niechże końskie oko dewizy tuczy...

5. Już z parafazy tego przysłowia widać, jak dalece wzbogacił koni naszą mowę ojczyzna. Choćby takie określenia konskiej maści: siwe, jaskółcze, ciawe, bulane, gniade, tarantowate, rydzy, rydzopłes, niwe, kasztanowate, żelaznosiwie, płowe, myszate, gniadoplusnie, wronoplusnie, kare, wronie. Piękne polskie słownictwo! Albo: koń fuczny, cugowy, podagowy, wywarany, kopiniący, strzelczy, albo pochodne od konia: konuszy, konuszanek — córka konuszego, konuszyca — syn konuszego, konny pocaniec, konny jezdny, obrzędzić konia...

Kon zajmuje mocną pozycję w naszej literaturze pięknej. Z lubością pisali o koniach Kochanowski i Małaczewski, Stowicki i Mickiewicz, Krasiński i Sienkiewicz, Krasiński i Żeromski, Prus i Strug, Gostel i wielu innych wybitnych polskich pisarzy.

6. PSO w Bogusławicach spełnia ważną rolę w planowej i racjonalnej gospodarce hodowlanej koni rasowych. W okresie kopulacji, od stycznia do czerwca każdego roku, transportuje się ogiery na je reny województw łódzkiego i kieleckiego — do punktów kopulacyjnych rozmieszczonych w gospodarstwach państwowych i prywatnych, gdzie krwią klacze rodowodowe, z kopulacji rodzi się nieraz sporo ładnych koni, które kwalifikuje się do hodowli. Konie nie uznane przez ko-

misję kwalifikacyjną ulegają przymusowemu wyrebiowaniu.

Nasuwa się pytanie: po co ta hodowla, skoro, wraz z postępem mechanizacji w rolnictwie i w transporcie, rola konia maleje do minimum? Odpowiedź jest prosta. Oto w małych prywatnych gospodarstwach rolnych konia używa się jeszcze do prac rolnych, do wywozów drzewa drobnego, transportu itp. Jest tam potrzebny koń lekki, zwrotny. Racjonalna hodowla selekcjonuje właśnie konia takiego typu. A jeśli już racjonalna hodowla — to czy wiesz hodowla wyłącznie konia rasowego, bowiem tylko z szerokiej bazy wartościowej przychówka można selekcjonować konie wyjątkowo dobre. Z kolei, jak już wspomnieliśmy wcześniej, polska hodowla koni rasowych ma znaczną opinię w świecie i na sze konie — to dewizy. W tej polityce hodowlanej bardzo ważną rolę odgrywa hodowla koni sportowych, na które popyt za granicą wciąż rośnie. Eksport koni tej klasy jest znaczny i ceny na nie nader wysokie, ale, do prawdy, są to bardzo dobre konie.

7. Już samo przysłowie: „Orzą jak w konia” mówi samo za siebie. Konie nie może stać bezczynnie. Przeło do radości i bezrębnym określić, kopulacyjnym rasowe ogiery bogusławickie idą, chcąc nie chcąc, do ciężkiej pracy w plenerze, angażowane przez Łódzką Wytwórnię Filmów Fabularnych. Brały udział w wielu filmach. Ze wzmianek: „Krzyżacy”, „Mandri”, „Ty możesz zostać Indianinem”, „Panienka z okienka”, „Don Gabriel”, „Saragossa”, i oczywiście „Popioły”. Również w wielu innych filmach, tak że krótkometrażowych.

No, cóż, helze na konie pa nowiel!

8. Kilka słów o przeszłości. Do powstania w 1863 roku

Bogusławice stanowiły dobrą ziemską kujawskich biskupów. Ich lenia rezydencja zachowała się do dziś w Wólborzu. Po upadku powstania, biskupie dobra zagarnął car i władzą nimi aż do wybuchu I wojny światowej. W roku 1921 ówczesne władze polskie założyły w Bogusławicach stado ogierów, które przetrwało do września 1939 roku. W czasie działań wojennych część koni zginięła, część rozproszyła się. Podczas okupacji gospodarstwo tu hitlerowski okupant.

17 stycznia 1945 roku Niemcy zarządzili natychmiastową ewakuację stada do Grabau pod Lubeką. Do ewakuacji zmuszono również bogusławickich masztalerzy.

Opowiada pan Roman Strzybczyk, wówczas jeden z masztalerzy — magazynier w PSO w Bogusławicach: — „Zerwali nas w nocy i kazali natychmiast przygotować stado do ewakuacji. Było nas kilkunastu masztalerzy. Stado liczyło ponad 200 ogierów. O świcie, 17 stycznia 1945 roku, wyruszyliśmy pod konwojem do Grabau, w kierunku na Lubekę. Masztrycz nie dawał trasa i niemal stałe pod bombami i ogniem artylerii. Wiele koni padło od pocisków i z wyłączenia. W Drzinie trafiliśmy na potężne bombardowanie lotnicze alianckich. Na ulicach tego miasteczka zginęło bardzo dużo naszych koni. Robiliśmy co w naszej mocy, żeby uchronić stado, żeby możliwe najwięcej ogierów przyniesło do powrotu do kraju. 20 kwietnia przybyliśmy wreszcie do Grabau. Stado było zdziławione, zaraz no za kołosem, działając wojennych. W maju 1945 roku, odeszliśmy z resztki ogierów z naszego stada i wróciliśmy z nimi do Bogusławic. Było ich zaledwie 36. Spośród nas nikt nie zginął, wszyscy wrócili do Bogusławic. Cóż! pracuję jeszcze do dziś w PSO”.

Ta piękna postać bogusławickich masztalerzy zasługuje na słowa szczególnego uznania.



Lewym
okiem

ZA DUŻO INICJATYWY

— Cóż oni jeszcze robią w domu, skoro tyle robią na ulicy? — zawołała raz zgorzorna starsza pani na widok dwójki młodych, przytulonych, zaciętanych, manifestujących swój nieposkromiony temperament wszystkim, czy kto chce czy nie.

My się oczywiście nie gorszymy, czasem mamy nawet ochotę pozazdrościć. Ostatecznie — jak mawia mój starszy przyjaciel — nikt od tego nie umarł, a wielu się urodziło. I nawet nie peszy nas przekonanie, że to najczęściej wcale nie temperament, ani głębia uczucia, ani porwu młodych serc, tylko zwykła maniera, zblazowanie, fason. Ci, co mogą się dla fasonu całować w domu, to mogą i publicznie, co tam. Najbardziej jednak żenującym w tej całej historii jest

To dziewczyna obejmie chłopca za szyję, nie na odwrót. Jego to już dawno znudziło; kiedy ludzie patrzą — jest trochę dumny i trochę zażenowany. Nie wiem, jak jest, kiedy nie patrzy, ale jeśli i wówczas dziewczyna wykazuje tyle inicjatywy, to wreszcie obojgu głęboko współczuję: jemu — bo już mu nie pozostało do zdobywania, żadnej satysfakcji najgłębszej, o ile jest naprawdę mężczyzną: jej — bo się głupio, własnym samobójczym zachowaniem degraduje do roli białej, ledwie dostrzeganej przyjemności, a mogła być nagrodą, przeciwnie, mocnym wspomnieniem, może i szczęściem.

Młodzi ludzie płci męskiej starają się być oschli i brutalni, bo tacy są bohaterowie westernów. Jednocześnie najęźli publicyści rozważają zjawisko postępującego niewścieśnienia młodych. Kto ma rację? Oczywiście — publicyści. Nie wiem, co by wam konkretnie poradzić, nasze najmiłsze, śliczne dziewczęta. W każdym razie: nie róbcie z waszych chłopaków ostatnich mazgajów! Zadzajcie więcej! Ceńcie się, ceńcie się, choćby to było czasem trochę trudne — dla własnego dobra! A zaczajcie od tego, żeby w szatni zwyczajnie wciągnąć w ręce towarzysza własny płaszcz i kategorycznie, chociaż z uśmiechem, powiedzieć: może być mi tak podał płaszcz?

Podziła. Słowo daję.

CWIEK